

CIVITAS



CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie

"Civitas Christiana"

Oddział w Nowym Sączu

ISSN 1232-5910

ALMANACH SĄDECKI



R. VIII
NR 2 (27)



*Katolickie Stowarzyszenie
"Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu*

ALMANACH

SĄDECKI

R. VIII NR 2 (27)



BP NS Region



Nowy Sącz 1999



Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia
"Civitas Christiana" w Nowym Sączu
33-300 Nowy Sącz
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 443 81 52

Redakcja: Leszek Migręła – red. naczelny
Marek Basiaga
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Druk: S.C. „BAAD”
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 441 28 25

Opracowanie: Małgorzata Kossakowska

SŁUGA BOŻA JULIA RODZIŃSKA

Proces beatyfikacji Męczenników za wiarę, którzy dali świadectwo o Chrystusie Panu w czasie drugiej wojny światowej, rozpoczęto 26 stycznia 1992 roku we Włocławku. Jedną z ośmiu sióstr zakonnych, włączonych do grona 107 przedstawicieli różnych grup społecznych i objętych postępowaniem beatyfikacyjnym, jest dominikanka Julia Stanisława Rodzińska z Nawojowej.

Ukazanie sylwetki siostry Julii wynika z przekonania, że przyjęła ona, pogłębiła i rozwinęła w duchu ewangelicznego radykalizmu dominikański charyzmat życia zakonnego, przekazany przez Matkę Białecką.



Julia Rodzińska - obraz namalowany
przez Stanisława Rodzińskiego,
bratanka błogosławionej,
fot. M. Kossakowska

Aby ogarnąć postać siostry Julii Rodzińskiej sięgnijmy do czasów, kiedy w Nawojowej stał jeszcze drewniany modrzewiowy kościółek, proboszczem parafii był ks. Jakub Żabecki, a nawojowski pałac zamieszkiwali Stadniccy.

W tym to kościele, 14 listopada R. P. 1894, zawarli związek małżeński: organista - Michał Jan Rodziński (lat 28), z Marianną Sekułą (lat 15), córką zamożnych nawojowskich gospodarzy. Na akcie ślubu ks. Jakub Żabecki odnotował zgodę rodziców narzeczonej na związek. Michał Jan Rodziński - syn Jakuba i Marianny z domu Chopkiewicz - pochodził z Wojakowej. Zawód organisty był tradycją dziedziczną w rodzinie. Rodzice Ma-

rianny - Bonifacy Sekuła i Anna z domu Lelito - należeli do najbogatszych gospodarzy w okolicy, lecz Bonifacego postrzegano jako skąpca i sknerę. Michał i Marianna zamieszkali w organistówce koło klasztoru dominikanek. Organistówka zachowała się w niezmiennym stanie aż do chwili obecnej.

Michał posiadał znakomite kwalifikacje organistowskie. Na temat jego niewątpliwego talentu przez dwa lata krążyły pośród parafian słowa biskupa Wałęgi, który powiedział, że *"nie może się modlić spokojnie w czasie Mszy Świętej, tylko słucha przepięknej muzyki kościelnej nawojowskiego organisty"*. Mimo piastowania posady organisty, uposażenie jego było niewystarczające, dlatego też ciągle szukał dodatkowych zajęć. Był pracowity. Podjął pracę jako pisarz w kasie oszczędnościowej w urzędzie gminnym. Założył też chór parafialny, a jego sława sprowadzała licznych gości z okolicznych wsi na uroczystości parafialne. Michał cieszył się niekwestionowanym autorytetem w parafii.

W rodzinie Rodzińskich przyszło na świat pięcioro dzieci: Julian Michał – 24 IX 1895, Stanisława Maria Józefa – 16 III 1899, Ludwik Jan Józef 14 III 1901, Anna Maria – 12 VI 1903, Janina Helena - 5 VIII 1905. W domu Rodzińskich wszystko było podporządkowane szeroko rozumianej służbie Bożej. Ojciec stawiał dzieciom surowe wymagania, które później kontrolował, a użyciem dyscypliny podkreślał wielkość ich winy. Matka prowadziła dom i wychowywała dzieci w duchu religijnym. Pomagała także mężowi w jego pracy. Uczestniczyła w próbach i występach chóru parafialnego.

Stanisława była drugim dzieckiem w rodzinie. Urodziła się w czwartek, 16 marca 1899 roku o godzinie 8⁴⁵ rano. Dumny ojciec zapisał w rodzinnej kronice, iż sam pełnił obowiązki akuszerki. W dwa dni później dziewczynkę ochrzcił ks. Jakub Żabcki nadając jej trzy imiona: Stanisława Maria Józefa.

Stanisława wzrastała w religijnej atmosferze domu Rodzińskich. W organistówce często słyhać było grę Michała komponującego własne utwory i przygotowującego nuty dla chóru. Niebawem przyszedł trudny czas dla rodziny. Dzieci dorastały, a u matki coraz bardziej postępowała choroba. Również ojciec walczył z reumatyzmem, który często utrudniał wykonywanie zawodu i spełnianie obowiązków. Rodzińscy znaleźli się w kłopotach finansowych, na które bogata rodzina Marianny pozostała obojętna. Do stałego braku pieniędzy dołączyła się śmierć rocznej córki. Michał, aby móc leczyć żonę, zaciągał pożyczki w zastaw hipoteczny ziemi.

Marianna Rodzińska zmarła w wieku 28 lat zostawiając czwórkę dzieci. Najmłodsze miało niespełna dwa lata. Trudności w zapewnieniu bytu dzieciom, oraz

nowe ataki reumatyczne pogrążyły i wyczerpały Michała. Dzieci zaczęły przeżywać bardzo trudny okres swojego życia. Były zaniedbane, głodne, ludzie je dokarmiali i ubierali. W dwa lata po śmierci żony zmarł Michał. Nabawił się zapalenia płuc w czasie kolędy, gdy towarzyszył proboszczowi.

Osieroconymi dziećmi nie zainteresowała się rodzina. Podzielono je i oddano na wychowanie. Taką decyzję podjęli ks. proboszcz Jakub Żabecki i siostra Stanisława Leniart - przełożona dominikanek z Nawojowej. Tak więc Stanisławą (10 lat) i Janiną (4 lata) zaopiekowały się dominikanki. Osieroceni chłopcy: Julian (14 lat) i Ludwik (8 lat) zamieszkali u rodziny Nowakowskich.

Zgromadzenie Sióstr św. Dominika zostało założone przez Sługę Bożą Matkę Kolumbę Białecką. Siostry pracowały w tej parafii od 1889 roku. Była to ich pierwsza placówka zakonna na terenie diecezji tarnowskiej. Siostry katechizowały, opiekowały się chorymi, prowadziły podręczną apteczkę zaopatrzoną w niezbędne środki medyczne. Ich działalność spotkała się z wielkim uznaniem wśród wiernych i duchowieństwa, jak również przyczyniła się do szybkiego otworzenia kolejnych domów zakonnych na terenie diecezji. Należy podkreślić, iż przełożona klasztoru, siostra Stanisława Leniart, była również sierotą przygarniętą bezpośrednio przez założycielkę zgromadzenia siostrę Kolumbę Białecką.

Osobowość przełożonej z Nawojowej, która kształtowała się w środowisku pierwszych polskich dominikanek radykalnie żyjących Ewangelią, była wzorem dla młodej wychowanki, Stanisławy Rodzińskiej. Siostra Leniart przyjęła taką samą postawę wobec sierot, jak kiedyś s. Kolumba Białecką w stosunku do niej. Te pozytywne doświadczenia wyniesione z własnego dzieciństwa przekazała przygarniętym dziewczynkom, które do końca jej życia w 1943 roku zwracały się do niej "mamo".

W atmosferze życia klasztornego, obecności sióstr i ks. Jakuba Żabeckiego, wzrastała Stanisława Rodzińska. W Nawojowej ukończyła szkołę ludową prowadzoną przez dominikanki. One przygotowały ją również do pierwszej Komunii Świętej. Dalszą edukację podjęła w Seminarium Nauczycielskim w Nowym Sączu. Siostry przekazywały jej równocześnie umiejętności, które same posiadały. Korzystała więc Stanisława z lekcji muzyki, haftu i praktycznych obowiązków domowych.

Od dłuższego czasu Stanisława nosiła się z zamiarem wstąpienia do Zgromadzenia. Pragnienie to było bardzo intensywne. Mimo trwającej I wojny światowej i odnoszonych sukcesów w nauce, przerwała Seminarium Nauczycielskie i rozpoczęła pracę nad formacją zakonną w Wielowsi. Udała się tam 23 sierpnia 1916 roku. W kilka dni później rozpoczęła okres postulatu.

Kolebką Zgromadzenia Sióstr św. Dominika od 1861 roku była miejscowość Wielowieś koło Tarnobrzega. Stanisława Rodzińska po wstępnym okresie próby otrzymała biały habit zakonny. Zgodnie z tradycją przyjęła nowe imiona: Maria Julia. 4 września 1918 roku po złożeniu pierwszej profesji zakonnej, siostra Julia została wysłana do Krakowa w celu kontynuowania przerwanej wcześniej nauki. Zgromadzenie potrzebowało dominikanek przygotowanych do działalności oświatowo—wychowawczej. Siostra Julia Rodzińska uzyskała świadectwo maturalne w Seminarium Nauczycielskim Świętej Rodziny w maju 1919 roku. W okresie wakacyjnym ukończyła w Poznaniu kurs ochroniarski.

Dalsza formacja siostry Julii przebiegała w domach zakonnych, do których była wysyłana przez władze Zgromadzenia. W 1922 roku w Nowym Sączu uzyskała, po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego, patent stałej nauczycielki. Przez radę Zgromadzenia (2 VIII 1924 roku) została dopuszczona do wieczystych ślubów. Dwudziestopięcioletnia Julia Rodzińska złożyła je 5 sierpnia 1924 roku w Wielowsi. Tym razem oświadczyła, że chce złożyć śluby *"dobrowolnie i świadomie dla doskonałej Służby Bożej i zapewnienia sobie zbawienia"*. Świadkiem tej uroczystości była jej "druga mama" - siostra wikaria Stanisława Leniart. Siostra Julia edukację intelektualną ukończyła w 1926 roku otrzymując świadectwo Wyższego Kursu Nauczycielskiego w Wilnie. Uzyskała wówczas wyższe przygotowanie pedagogiczne.

W 1919 roku siostra Julia Rodzińska została skierowana do Mielżyna koło Gniezna. Należała do pionierskiej grupy sióstr wysłanych do zorganizowania klasztoru i zakładu dla sierot. Pracowała wśród sierot przywiezionych po I wojnie z Mińska Litewskiego. W celu pozyskiwania środków finansowych na utrzymanie ośrodka i sierot, siostry organizowały przedstawienia, imprezy artystyczne i wystawy prac dzieci. Goście zwiedzający sierociniec chętnie kupowali te wyroby. Siostra Julia, obdarzona zmysłem artystycznym i organizacyjnym, wspierała przedsięwzięcia charytatywne swoim zaangażowaniem i pomysłami. Już w Mielżynie jej życie zakonne zostało połączone z pracą wśród sierot. W tych kontaktach ujawniła się jej niezwykle wrażliwa osobowość na ten typ wychowanków. Od 1921 do 1922 roku siostra Rodzińska pracowała w Rawie Ruskiej w szkole podstawowej prowadzonej przez siostry w ich budynku zakonnym, później w Zakładzie dla Sierot przy ul. Witebskiej. 13 grudnia 1922 roku przybyła do Wilna i pozostała w nim przez 22 lata. Siostra Julia Rodzińska dała się poznać jako wybitny pedagog i wychowawca ceniony przez uczniów. Była nauczycielką wymagającą, sprawiedliwą i mobilizującą dobrym słowem. Pomagała uczniom słabym i dodawała im wiary w siebie. Praca jej została zauważona przez władze oświatowe i potwierdzona nominacją na kierowniczkę szkoły podstawowej w latach 1926 - 1931. Miała wówczas 27 lat. Cieszyła się za-

ufaniem sióstr i władz Zgromadzenia. Dwukrotnie została wybrana na delegatkę na kapitułę generalną.

W 1934 roku siostra Julia Rodzińska otrzymała nominację na przełożoną domu w Wilnie i kierowniczkę zakładu dla sierot. Podejmowała nowe, często prekursor-skie inicjatywy apostolskie. Zorganizowała na stałe kolonie i półkolonie dla najbied-niejszych dzieci Wilna. Za wzorowe prowadzenie zakładu dla sierot otrzymywała nagrody Wojewody Miasta Wilna. Uzyskane pieniądze przeznaczała tylko dla dzieci. Społeczeństwo Wilna nazywało ją "matką sierot".

Jako przełożona dominikanek dbała o potrzeby duchowe i materialne sióstr. Wymagała sumienności i obowiązkowości w pracy, a równocześnie potrafiła uspra-wiedliwiać ich ludzkie słabości. Klasztor na Witebskiej był otwarty i gościnny. Wielo-krotnie przyjmowała w nim swoich współziomków z Nawojowej, którzy przyjeżdżali z pielgrzymką do Matki Bożej Ostrobramskiej. Zabiegała o to, by mogli jak najwię-cej skorzystać z pobytu w Wilnie.

W ciągu trzech lat po objęciu kierownictwa domu sierot zwielokrotniła liczbę wychowanków, wśród których znajdowały się dzieci różnych narodowości. Starła się je jednak wszystkie zauważyć i okazać im, że je lubi. Jej działalność budziła szeroką aprobatę mieszkańców Wilna. W 1937 roku siostra Julia została poddana poważnej operacji żołądka. Dolegliwości te dokuczały jej od dziecięcych lat.

Siostra Julia prowadziła działalność wychowawczą w zakładzie sierot i szkole powszechnej aż do momentu przejęcia ich przez Litwinów w 1940 roku. Wojenne dzieje Wilna były wyjątkowo skomplikowane z powodów politycznych i narodowościowych. We wrześniu 1940 roku siostry nauczycielki zostały zwolnione z pracy i za zgodą władz kościelnych chodziły w strojach świeckich. Chciały jak naj-dłużej wywierać wpływ na wychowanków, których próbowano na siłę zlitwinizo-wać. W styczniu 1941 roku zostały ostatecznie wyrzucone. Siostra Julia na zawsze opuściła klasztor na Witebskiej. W ten sposób przerwana została "oficjalna" praca wychowawcza sióstr, która prowadzona była w Wilnie od 1922 roku.

Po opuszczeniu klasztoru część sióstr wraz z siostrą Julią zamieszkała na kape-lanii sióstr wizytek przy ul. Rossa. Julia Rodzińska wyszukała im zatrudnienie w rodzinach polskich, co nie było rzeczą łatwą, gdyż bezwzględna polityka litwiniza-cji pozbawiła rodziny polskie środków do życia.

Mimo ciężkich warunków okupacyjnych, życie religijne i narodowe zaczęło pul-sować podziemnym nurtem. Siostra Julia rozpoczęła tajne nauczanie języka pol-skiego, religii i historii. Aresztowania prawie wszystkich zakonników i zakonnice

zdezorganizowały działalność konspiracyjną prowadzoną przez duchowieństwo. Były to ewidentne uderzenia w polskość Kościoła. Siostra Julia tym razem jeszcze uniknęła aresztowania. Podjęła się organizowania akcji żywnościowych dla księży emerytów pozbawionych środków do życia, a przygarniętych do domów przez ludzi świeckich.

12 lipca 1943 roku na kapelanii siostr wizytek zostały aresztowane siostra Julia i trzy inne dominikanki. Umieszczono je w więzieniu gestapo na Łukiszkach, które w czasie drugiej wojny światowej stało się miejscem masowych kaźni Polaków. Julia Rodzińska została osadzona w izolatce numer 31 b. Cella była cementową szafą, w której można było tylko siedzieć. Dodatkowym źródłem bólu był niewystarczający dopływ powietrza i konieczność przyjmowania niezmiennionej pozycji ciała. Siostra Julia została oskarżona o działalność polityczną i kontakty z partyzantami polskimi. Wobec siostry został zastosowany ostry reżim i rok ścisłej izolacji. Była więc traktowana surowiej niż pozostali więźniowie z cel zbiorowych. Mimo użytych wobec niej form nacisku w czasie przesłuchań i presji izolatki, nie załamała się duchowo ani fizycznie.

Więźniarki z Łukiszek opisały metody zadawanych tam cierpień. Były bite i szykanowane, a jęki maltretowanych słyszeć było dniem i nocą. W celu wymuszenia zeznań pokazywano im, w tzw. katowni, więźniów już po przesłuchaniu, lub raczej to, co z nich pozostało. Stosowano też torturę psychiczną mówiąc, że w ręku gestapo znajdują się już osoby najbliższe więźniarkom. Na potwierdzenie tych słów pokazywano przedmioty, które do nich należały. Więźniarki musiały w izbach tortur zmywać posadzki, które stałe były zbрызane kilkucentymetrową warstwą krwi. Więźniarka, która spotkała siostrę Julię prowadzoną z izolatki, zauważyła spokój i skupienie, które promieniowały z jej twarzy. Nie było widać oznaki załamania czy wewnętrznej rezygnacji. Tajemnicą pozostaną duchowe przeżycia siostry Julii.

Wobec zbliżającego się 3. Frontu Białoruskiego więźniowie polityczni z Łukiszek, a wraz z nimi Julia Rodzińska, 45-letnia schorowana zakonnica, jako niebezpieczna dla III Rzeszy została wtłoczona do bydłowego wagonu i przewieziona do obozu koncentracyjnego Stutthof koło Gdańska. Tak więc od lipca 1944 roku Julia Rodzińska była więźniarką obozu koncentracyjnego. Przybyłe więźniarki przyjmowane były wśród drwin i żartów, w sposób brutalny. By upokorzyć godność tych kobiet, wykonywano na oczach żołnierzy niemieckich i uwięzionych mężczyzn badania ginekologiczne.

Siostra Julia została przeznaczona jako polski więzień polityczny z numerem 40992 do żydowskiej części obozu. Tam niezwykle brutalnie traktowano i głodzono

więźniarki. Miało to na celu szybkie pozbycie się ich ze względu na liczebność stale nadchodzących nowych transportów żydowskich. Ogromny tłok panujący w całym obozie usiłowano rozładować wprowadzając terror fizyczny i psychiczny. Niszczono więźniów głodem, biciem i pracą ponad ludzkie siły. Szalejący tam terror scharakteryzowano następująco: *"Była wielka śmiertelność, a praca wyniszczała każdą z nas. Byliśmy głodne [...]". Selekcjonowano najłabsze spośród nas i przeznaczano na śmierć przez gaz i spalanie*". Stosy trupów leżały obok baraków żydowskich i budziły przerażenie we wszystkich więźniach. Esesmani ze szczególnym okrucieństwem traktowali kobiety, które przypominały "półtrup". Życie w warunkach stałego głodu, brudu, insektów i egzekucji deformowało psychikę więźniów.

W takich ekstremalnych warunkach życia obozowego ujawniła się głęboka pobożność siostry Julii. W baraku, w którym były przede wszystkim Żydówki z różnych krajów, siostra Julia zorganizowała i prowadziła modlitwę wspólnotową. Stale przypominała towarzyszkom cierpienia o wartościach religijnych, które chciał w nich zdeptać panujący system. Modlitwa płynąca z wiary pomagała obronić niszczone i ciągle poniżane człowieczeństwo. Praktyki religijne były w obozie zakazane i surowo karane. Dla więźniów stawały się przejawem oporu przeciwko zalewającej fali zła.

Siostra Rodzińska udręki obozowe znosiła spokojnie i z modlitwą na ustach. W duchu wiary przyjmowała wszelkie szykany i obozowy reżim. Więźniarki podkreślały, że w tak trudnych warunkach obozowej rzeczywistości ciągle się modliła. Jej modlitwie towarzyszyły jęki cierpiących, przekleństwa hitlerowców, a nawet więźniów ogarniętych rozpaczą. Zaduch palonych ciał z krematorium i stosów całopalnych wywoływał wśród głodnych więźniów uczucie mdłości. Rozlegały się strzały - znaki trwających egzekucji. Siostra Julia swoim zaangażowaniem udowodniała, że nawet tutaj należy zauważyć człowieka bardziej potrzebującego od siebie. Dzieliła się swoją mizerną porcją żywności, cieplejszą odzieżą. Nie chciała przeżyć za cenę niedostrzegania wygłodniałych oczu więźniarek, dlatego dzieliła się dosłownie wszystkim. Swoim autorytetem tłumiała u innych więźniów prymitywne reakcje wyzwalane przez życie obozowe. Cieszyła się uznaniem wśród więźniów i traktowano ją jako arbitra w sytuacjach konfliktowych. Nawet kapo traciła w obecności siostry Julii pewność siebie. Można byłoby długo przytaczać relacje wspomnień o siostrze Julii, jej życiu i postawie w życiu obozowym.

W listopadzie 1944 roku wybuchła w obozie kolejna epidemia tyfusu, która rozprzestrzeniła się głównie wśród kobiet w części żydowskiej, wyniszczonych głodem

i ciężką pracą. Zdrowi więźniowie izolowali się od zarażonych, bo pragnęli przeżyć obóz. Chorzy byli więc pozostawieni własnemu losowi. Ich powolna śmierć dokonywała się w koszmarnych warunkach. Współtowarzyszki prosiły siostrę Julię, by nie służyła zarażonym. Odradzały jej podjęcie tej decyzji, gdyż zbliżał się front i była szansa przeżycia obozu. Pomoc ofiarom epidemii w warunkach obozu koncentracyjnego była równoznaczna z akceptacją śmierci, zgodą na śmierć i umieranie w warunkach, gdzie ciała zżerane były przez wszy i rozkładały się we własnych nieczystościach. Barak nr 30 był umieralnią, do której nikt nie chciał się zbliżyć. Jedynie siostra Julia zwilżała chorym usta z trudem zdobytą wodą. Jedną z polskich więźniarek, tak wyniszczoną tyfusem, że uznano ją za martwą w ostatniej chwili wyciągnęła ze stosu całopalnego. Kobieta ta przeżyła obóz i złożyła świadectwo o poświęceniu siostry.

Siostra Julia do końca swojego życia służyła innym, chociaż z coraz większym trudem mogła się poruszać. Chorzy wzywali ją po imieniu i czekali na jej pochylenie się nad nimi. W gorączce tyfusowej, która ogarnęła organizm i z jej oczu popłynęły łzy.

26 stycznia 1945 r. rozpoczęła się ewakuacja obozu Stutthof. Esesmani zachęcali słabych i chorych, by pozostali w obozie. Najbardziej wyniszczeni nie opuścili swoich baraków. Była wśród nich siostra Rodzińska. Część żydowska była ściśle izolowana od reszty obozu. Ofiary w niej przebywające konały bez żadnej pomocy sanitarnej. Komanda więźniów co pewien czas zbierały ciała ofiar i paliły na sosie całopalnym. 20 lutego 1945 roku w baraku nr 27 zmarła siostra Julia Rodzińska. Pozostała na zawsze wśród ofiar tyfusu, a cisza, która objęła pryczę siostry Julii, była znakiem jej odejścia do wieczności.

Nagie ciało Siostry, położone na stosie ofiar, ktoś okrył kawałkiem obozowego materiału, jako wyraz wdzięczności i czci.

Opracowanie na podstawie książki: "Moc w słabości - życie i męczeństwo Siostry Julii Rodzińskiej" - Justyna Mirosława Dombek OP, Kraków 1998.

Adam Śledź

W KŁĘBACH DYMU I PARY

Rywalizacja państw, miast i... projektów

Budowa linii kolejowej Tarnów-Leluchów, jak również linii podkarpackiej (transwersalnej) Stróże-Zagórz i Nowy Sącz-Żywiec podyktowana była potrzebami handlu i gospodarki Cesarstwa Austro- Węgierskiego, ale przede wszystkim zadecydowały jednak względy strategiczno-wojskowe na wypadek wojny z Rosją. Świadczy o tym dobitnie wypowiedź **Faustyna Hlaviatego** – budowniczego tej linii: "Na wypadek wojny Galicja mogłaby być w 24 godziny zajęta przez nieprzyjaciela i najzupełniej odcięta od reszty monarchii, a wtedy Tatry i Karpaty służyłyby na-jeźdźcy za naturalną twierdzę, której żadna siła ludzka zdobyć i wyrzeć mu już więcej nie byłaby w stanie i stąd to dopiero, jak lawina, rozlałby się dalej po Wyżynie Węgierskiej – i jednym zamachem całe Węgry i Siedmiogród zagarnąć by łatwo przyszło".

Zamiar budowy kolei łączącej Galicję z Węgrami został wyrażony w ogólnym planie budowy austriackiej sieci kolejowej – zatwierdzonym 10 listopada 1854 roku. Konkurencja miast galicyjskich zaowocowała powstaniem dwóch projektów budowy tej linii: pierwszy przewidywał budowę połączenia z Preszowa do Tarnowa. Zwyciężył drugi projekt, o czym zadecydowano w Wiedniu 8 maja 1870 roku.

Wspólne działania Nowego Sącza i Tarnowa

Radni Nowego Sącza, na posiedzeniu 13 lutego 1868, opracowali petycję, pod którą zaczęto zbierać podpisy znamienitszych obywateli, by kolej żelazna z Galicji na Węgry prowadzona była przez Nowy Sącz – to był pierwszy krok. Na posiedzeniu Rady Miejskiej 8 marca 1869, postanowiono wysłać do Wiednia delegację

wspólną z Tarnowem, w celu wyjednania korzystnej decyzji dla obu miast. Zamierzano też pozyskać wpływowe osobistości, wśród których wymieniano doktora **Franciszka Smolkę** i profesora **Juliana Dunajewskiego** – posłów na Sejm Krajowy oraz do parlamentu wiedeńskiego.

Zagrożona przyszłość Nowego Sącza

Szokiem dla mieszkańców Nowego Sącza była wiadomość z dziennika krakowskiego "Czas" z dnia 6 czerwca 1872, że linia kolejowa ma być prowadzona z Leluchowa na Grybów i do Tarnowa z pominięciem Nowego Sącza. W tym samym dniu na posiedzeniu Rady zdecydowano by zatelegrafować do honorowych obywateli miasta: doktora Smolki i profesora Dunajewskiego *"... iżby dali wyjaśnienie jak sprawa o kolej względem tutejszego miasta stoi, a w razie gdyby ta sprawa postawiona była w Radzie Państwa na porządku dziennym, iżby oni sprawę na korzyść miasta popierali. Projekt taki gdyby został przyjęty i uchwalony w Radzie Państwa wpłynąć by miał bardzo niekorzystnie pod względem handlu i przemysłu na tutejsze miasto, które zamiast wzrastać – upaść by musiało."* Postanowiono również wybrać trzyosobową delegację i wysłać bezwzględnie do Wiednia *"w celu dalszego gorliwego starania, aby projektowana kolej żelazna z Leluchowa przez Nowy Sącz prowadzona była do Tarnowa"*. W skład delegacji wybrano ówczesnego burmistrza **Jahanidesa**, byłego posła na Sejm Krajowy – **Juliana Gutowskiego** oraz radnego **Józefa Bałabana**. Każdemu z nich postanowiono wypłacić z kasy miejskiej po sto reńskich "na opędzenie" kosztów podróży.



Dworzec kolejowy w Nowym Sączu

Radosne wieści z Wiednia

Delegacja z Wiednia przywiozła radosne wieści. Na posiedzeniu Rady Miejskiej 3 lipca 1872, radny Bałaban informował o wyniku starań w Radzie Państwa i o przyjęciu delegacji przez Ministra Handlu, który dał zapewnienie, *"że kolej rze- czona na Nowy Sącz będzie prowadzona, i że w Nowym Sączu nie tylko jeden, ale może dwa dworce zbudowane będą"*. O zapobiegliwości radnych świadczy również wystosowanie 22 stycznia 1873, do Najjaśniejszego Pana Cesarza Franciszka Józefa, prośby o przyspieszenie budowy kolei żelaznej dla umożliwienia ludności ubogiej *"sposobu zarobku"*.

Rozpoczęto od tunelu w Żegiestowie...

Parlament austriacki 22 kwietnia 1873 podjął ostateczną decyzję o budowie linii kolejowej Tarnowsko-Leluchowskiej i już we wrześniu tego roku przystąpiono do robót budowlanych. Rozpoczęła je firma "Koeller i Gregersen" od budowy tunelu w Żegiestowie jako przedsięwzięcia najtrudniejszego i najbardziej pracochłonnego. Większość mostów, przepustów i tunel w Kamionce Wielkiej budowali Włosi. Całą linię, długości ok. 150 kilometrów podzielono na 11 odcinków, tzw. "losów", na których prace były wykonywane przez różnych przedsiębiorców zatrudniających miejscową ludność.



Katastrofa kolejowa w Nowym Sączu w lipcu 1903 r.

Nie dość zasług profesora Juliana Dunajewskiego

Dworzec kolejowy pierwotnie został zlokalizowany na ówczesnych peryferiach miasta, u zbiegu ulicy Grodzkiej, Jagiellońskiej i Kunegundy. Radni wystąpili z wnioskiem o zmianę tej lokalizacji, uzasadniając swoje stanowisko bliskością miasta

i utrudnieniem w przyszłości jego rozbudowy. Ponownie zwrócono się o pomoc do profesora Dunajewskiego i za jego pośrednictwem wyjednano zmianę miejsca. Budowę dworca przesunięto o ok. 1000 metrów na południowy wschód. Miasto zobowiązało się równocześnie do poniesienia połowy kosztów budowy drogi od Grodzkiego do dworca kolei oraz kosztów jej utrzymania. Drugą część kosztów zobowiązał się pokryć Wydział Powiatowy. Wykonawcą tej drogi (długości 729 m i szerokości 8 m) oraz drugiej drogi (długości 500 m i szerokości 4 m) od gościńca krynickiego do dworca – był przedsiębiorca **Jan Grimm**, któremu za wykonanie zapłacono 3.100 reńskich.

Urodziny Najjaśniejszego Pana

Budowa linii kolejowej o długości 150 km, trwała trzy lata. Dla potrzeb budowy linii specjalnie zakupiono dwa parowozy wyprodukowane w Manchesterze w Anglii, które nazwano: "Góral" i "Bojan" (lub "Bojar"). Otwarcie kolei Tarnowsko-Leluchowskiej nastąpiło 18 sierpnia 1876 roku, w dniu czterdziestych szóstych "Urodzin Najjaśniejszego Pana Cesarza Franciszka Józefa." Nowo wybudowana linia kolejowa została przez rząd austriacki przekazana do eksploatacji Towarzystwu Budowy Kolei Galicyjsko-Węgierskich za cenę poniesionych kosztów wynoszących 13.322.136 florenów austriackich. Na linii pracowało 12 parowozów, 40 wagonów osobowych i 200 wagonów towarowych. Pociągi osobowe jeździły z szybkością 45-km/godz, a towarowe 25 km/godz.

"W kłębach dymu i pary..."

Parowozy były malowane w kolorze ciemnozielonym z czerwonymi obramowaniami oraz miały oznaczenia cyfrowe i mosiężne tablice z nazwami dworców kolejowych tej linii. Wagony zaś malowano jasnymi farbami. W klasie pierwszej kanapy pokrywano błękitnym lub czerwonym pluszem, a w klasie drugiej były obite ciemną skórą. Każdy wagon miał własne ogrzewanie piecami opalanymi węglem i oświetlony był lampami olejowymi. Wejścia do każdego przedziału były oddzielne z obu stron wagonu.

Odprawa pociągu osobowego stanowiła swoisty ceremoniał. Po zawiadomieniu przez dyżurnego ruchu, że pociąg jest przygotowany do odjazdu – portier uderzał w dzwon stacyjny. Obchodził poczekalnie oraz inne pomieszczenia dworca i dzwonkiem ręcznym zawiadamiał o zbliżającym się odjeździe pociągu. Rytuał ten powtarzał się jeszcze dwukrotnie w odstępach pięciominutowych. Gdy nadchodziła chwila odjazdu, dyżurny ruchu podnosił rękę do góry, a konduktor głośno wołał: "Proszę wsiadać! Jazda gotowa!" i trąbką dawał sygnał maszyniście, który wtedy uruchamiał gwizdawkę parowozu i powoli ruszał w drogę w kłębach dymu i pary.

Podobny do dziadka i wnuczka

Mimo braku dokładnych danych o budowie dworca, udało się ustalić, że już w 1878 roku budynek był murowany, w środkowej części piętrowy, po obu stronach miał parterowe przybudówki, a od strony torów znajdowała się wiata na całej jego długości. Obecny dworzec powstał w wyniku ogólnej rozbudowy w latach 1907 do 1909. Później w latach 1979 do 1983 został całkowicie zmodernizowany – jednak nie naruszono jego zewnętrznej bryły, a w wewnętrznej stylizacji zachowano wiele secesyjnych elementów zdobniczych. Szczęśliwie udało się kolejarzom połączyć starą formę z nową treścią.



POMNIKI PRZYRODY

Pomnikiem przyrody jest wyróżniający się twór lub skupienie tworów przyrody żywej lub nieożywionej, mające szczególne wartości pod względem przyrodniczym, pamiątkowym lub krajoznawczym. Są to przeważnie pojedyncze stare drzewa, krzewy lub ich grupy, głównie gatunków rodzimych (rzadziej obcych), aleje, głązy narzutowe, źródła, wodospady, fragmenty szczególnie ukształtowanej powierzchni ziemi i skał, jaskinie, stanowiska rzadkich gatunków roślin i zwierząt, w tym gatunków prawnie chronionych, a także miejsca gniazdowania rzadkich, zagrożonych wyginięciem gatunków ptaków. Za pomniki przyrody mogą być uznane niewielkie powierzchnie wymagające ochrony ze względu na występujące na nich szczególnie rzadkie i cenne z przyrodniczego punktu widzenia zespoły roślinne lub ugrupowania zwierząt (np. torfowiska, powierzchnie leśne i murawowe itp.), ewentualnie duże ilości osobników chronionych gatunków roślin i zwierząt.

Pomniki przyrody mają nie tylko duże znaczenie dla nauki, ale wpływają także na piękno krajobrazu, zwiększając jego różnorodność. Często są one związane z określonymi wydarzeniami lub wybitnymi postaciami naszej kultury narodowej i historii.

Na terenie Popradzkiego Parku Krajobrazowego jest ich zbyt wiele, aby w ograniczonej objętości tekstu móc scharakteryzować wszystkie. Ogólnie na terenie Parku i jego otuliny (nie biorąc pod uwagę Małych Pienin) występuje obecnie 91 obiektów objętych statusem pomników przyrody. Wśród nich najwięcej jest starych, okazałych drzew występujących pojedynczo (tab.1), w alejach (tab.2) lub w grupach (tab. 3). Także występują one jako skupienia obiektów przyrody żywej (np. jęczyznik zwyczajny) lub nieożywionej (tab. 4)

Tabela 1 - Drzewa występujące pojedynczo

Nr rej. woj	Miejsce położenia	Obiekt chroniony		
		Gatunek	Obw. na wys. 1.30m.*	Rok utworzenia
3	Tylicz k/ Kościoła	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	4.80	1934
12	Szczawnica Park	Buk zwyczajny (<i>Fagus sylvatica</i>)	2.00	1978
51	Mochnaczka Niżna	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>) (2 pnie)	6.00	1963
55	Złockie k/ Muszyny	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>) (3 pnie)	2.88;2.75; 3.20	1963
57	Szczawnica Park	Klon jawor (<i>Acer pseudoplatanus</i>)	3.50	1978
58	Stary Sącz	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	2.80	1963
60	Mochnaczka Wyżna	Jesion wyniosły (<i>Fraxinus exelsior</i>)	3.10	1964
61	Mochnaczka Niżna	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	4.20;3.70	1964
62	Mochnaczka Niżna	Jesion wyniosły (<i>Fraxinus exelsior</i>)	4.20	1964
63	Rytro	Buk zwyczajny (<i>Fagus sylvatica</i>)	2.90;2.30	1964
72	Szczawnica	Lipa szerokolistna (<i>Tilia platyphyllos</i>)	11 pni; 0.55-2.50	1964
78	Leluchów	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	3.67	1965
79	Leluchów	Lipa szerokolistna (<i>Tilia platyphyllos</i>)	3.10	1965
120	Przysietnica	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	4.92	1968
121	Barcice Górne	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	3.52	1968

122	Moszczenica Niżna	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	3.82	1968
123	Moszczenica Wyżna	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	3.10	1968
124	Moszczenica Niżna	Lipa szerokolistna (<i>Tilia platyphyllos</i>)	3.78	1968
125	Moszczenica Niżna	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	5.60	1968
139	Muszyna	Świerk węzowy (<i>Picea abies</i> 'Virgata')	0.20	1968
143	Tylicz	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	4.25	1969
148	Muszyna	Lipa szerokolistna (<i>Tilia platyphyllos</i>)	2.66	1968
255	Stary Sącz	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	4.20	1978
259	Piwniczna	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	4.20	1978
262	Muszyna Złockie	Grusza pospolita (<i>Pirus communis</i>)	2.80	1978
270	Szczawnica	Buk zwyczajny (<i>Fagus sylvatica</i>)	3.40	1978
271	Szczawnica	Modrzew europejski (<i>Larix europea</i>)	2.70	1978
272	Szczawnica	Grusza wierzbolistna (<i>Pyrus salicifolia</i>)	0.80	1978
274	Szczawnica	Lipa szerokolistna (<i>Tilia platyphyllos</i>)	2.90	1978
275	Szczawnica	Sosna wejmutka (<i>Pinus strobus</i>)	3.25	1978
276	Szczawnica	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	3.60	1978
277	Szczawnica	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	3.80	1978
278	Szczawnica	Sosna wejmutka (<i>Pinus strobus</i>)	3.80	1978

280	Szczawnica	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	3.10	1978
281	Szczawnica	Lipa szerokolistna (<i>Tilia platyphyllos</i>)	3.25	1978
296	Krynica	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	3.67	1982
249	Wojkowa	Jesion wyniosły (<i>Fraxinus exelsior</i>)	5.50	1990
350	Wojkowa	Jesion wyniosły (<i>Fraxinus exelsior</i>)	3.30	1990
353	Piwniczna	Lipa szerokolistna (<i>Tilia platyphyllos</i>)	3.40	1990
354	Łabowa	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	3.95	1990
368	Obidza	Buk zwyczajny (<i>Fagus sylvatica</i>)	6.75	1994
369	Popowice	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	3.40	1994
370	Żeleźnikowa	Jałowiec pospolity (<i>Juniperus communis</i>)	0.12	1994
373	Żeleźnikowa Wielka	Lipa drobnolistna (<i>Tilia cordata</i>)	3.80	1994
383	Szczawnica	Jesion wyniosły (<i>Fraxinus exelsior</i>)	4.42	1994
385	Szczawnica	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	3.00	1994
386	Szczawnica	Cyprysik groszkowy (<i>Chamaecyparis pisifera</i>)	1.83	1994
390	Muszyna	Dąb szypułkowy (<i>Quercus robur</i>)	2.60	1995
393	Stary Sącz	Jesion wyniosły (<i>Fraxinus exelsior</i>)	2.67	1996
395	Moszczenica	Głóg jednoszyjkowy (<i>Crataegus monogyna</i>)	0.72; 1.02	1996

Tabela nr 2– Aleje

Nr rej. woj	Miejsce położenia	Obiekt chroniony		
		Aleje	Obw. na wys. 1.30m.*	Rok utworzenia
40	Krościenko	lipowo-klonowa	2.50-3.40	1963
105	Stary Sącz	sosny czarne	1.04-2.30	1968
150	Muszyna	lipowa	0.70-3.20	1969
268	Szczawnica	żywotniki, jałowce i cisy	0.90-1.30	1978
279	Szczawnica	klony, jesiony, jawory	0.60-2.50	1978
389	Muszyna	lipy wzdłuż ul. Piłsudskiego	1.90-4.45	1995

Tabela nr 3– Grupy i skupienia tworów przyrody żywej

Nr rej. woj	Miejsce położenia	Obiekt chroniony		
		Grupy	Obw. na wys. 1.30m.*	Rok utworzenia
52	Mochnaczka Niżna	grupa drzew przy kościele (cerkwi) (lipy, jesion, jawor, modrzew)	2.30-4.60	1963
77	Leluchów	grupa drzew przy kościele (cerkwi) (lipy i modrzew)	1.65-3.80	1965
80	Andrzejówka	grupa drzew przy kościele (cerkwi) (lipy)	1.60-3.60	1965
82	Nawojowa	park zabytkowy przy pałacu Stadnickich	pow. 14 ha	1965

94	Mochnaczka Niżna	dąb i lipa przy zabudowaniach	2aw5;4.10	1967
100	Muszyna	sosny wejmutki i lipa drobno- listna przy kościele	2.10;2.50;3. 65	1968
144	Tylicz	grupa drzew przy cerkwi (lipy)	1.70-5.45	1969
146	Muszyna	grupa drzew przy DW ociem- niałych (lipy)	3.15;2.64	1969
147	Muszyna	grupa drzew przy dworcu kole- jowym (lipy)	2.00-3.75	1969
260	Wierchomla	lipy przy kapliczce	3.85;3.50	1978
261	Muszyna	5 modrzewi europejskich	1.95-2.70	1978
269	Szczawnica	fragment parku utrzymanego "na dziko"	Powierzch- nia 10 ha	1978
273	Szczawnica	cisy	1.40	1978
340	Szczawnik	drzewostan jodłowo-bukowy (Uroczysko Szczawnik)	Powierzch- nia 8.24 ha	1990
351	Krynica Dolna	grupa drzew przy kościele	2.00-3.74	1990
352	Piwniczna	grupa drzew na starym cmen- tarzu (lipy, jesion, brzozy, dąb, robinia)	0.80-4.05	1990
371	Roztoka Ryterska	jęczyznik zwyczajny (<i>Scolopendrium vulgare</i>)	Powierzch- nia 2x 1.0 ha	1994
394	Stary Sącz	lipy przy kościółku św. Krzyża	1.20-3.46	1996
408	Barcice	2 lipy przy kościele	2.30;4.60	1997

* - Obwody drzew podano wg. stanu na 1990 r.

Tabela nr 4– Pomniki przyrody nieożywionej

Nr rej. woj	Miejsce położenia	Obiekt chroniony	Pow.	Rok utworzenia
289	Powroźnik	staw “Czarna Młaka”	3,26 ha	1978
291	Łomnica Zdrój	koryto potoku z brzegami oraz uskok skalny na Łomniczance	dł. 50 m	1982
294	Szczawnica	wodospad (wys. 4m) i odcinek potoku Sopotnickiego	dł. 24m	1982
341	Wierchomla	staw z przyległym zespołem leśnym	5 ha	1990
342	Krynica, Czarny Potok	skała piaskowcowa “Diabelski Kamień” z otaczającym drzewostanem	0.05 ha	1990
343	Krynica, Czarny Potok	drzewostan bukowy na utworach skalnych “Las pod Jaworzyną”	1.48 ha	1990
346	Przehyba	zespół skał i utworów skalnych wraz z otaczającym drzewostanem	9.25 ha	1990
347	Wierchomla	drzewostan jodłowy na skałach	2.00 ha	1990
348	Przysietnica	drzewostan bukowy z utworami skalnymi pn. “Wietrzne Dziury”	14.00 ha	1990
407	Barcice	źródło siarczkowej wody mineralnej pn. “Anna”		1997
416	Rytro - Rzyczanów	wąwóz i koryto potoku Rzyczanowskiego pn. “Głęboki Jar”	7 ha	1998
417	Wierchomla Wielka	źródło siarczkowej wody mineralnej		1998
418	Wierchomla Wielka	źródło szczawiowej wody mineralnej		1998
420	Wierchomla Wielka	ściana piaskowcowa		1998
421	Łomnica Zdrój	skałka piaskowcowa		1998



Wśród pomników przyrody żywej najatrakcyjniejszym obiektem zdaje się być lipa drobnolistna (*Tilia cordata*) przy kościele w Tyliczu. Po otwarciu jej pnia dla oczyszczenia z murszu miękkiego w trakcie prac konserwacyjnych odkryto liczne korzenie przybyszowe, dzięki którym żyje i pozostaje w dobrej kondycji korona drzewa. Równie interesująca jest lipa o 11 pniach w Szczawnicy (Park Dolny).

Najgrubszym drzewem na terenie Parku jest buk zwyczajny (*Fagus sylvatica*) rosnący w Obidzy - obwód pnia na wys. 1,30 m wynosi 6,75 m.

Z kolei stanowisko jęczycznika zwyczajnego (*Scolopendrium vulgare*) jest oryginalnym obiektem chroniącym jedną z rzadziej występujących paproci, podlegającej ochronie gatunkowej.

Najpopularniejszym w Popradzkim Parku Krajobrazowym gatunkiem drzew objętych ochroną pomnikową jest lipa, która rośnie pojedynczo: przy kapliczkach przydrożnych, lub innych obiektach sakralnych (dziejnec klasztoru SS. klarysek w Starym Sączu, przy kaplicy pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Mochnaczce Niżnej), przy zabudowaniach (np. lipy w Moszczenicy), albo w grupach, najczęściej przy kościołach (Andrzejówka, Tylicz, Leluchów) i na cmentarzach (Piwniczna), a także w alejach ulicznych (Krościenko), parkowych lub cmentarnych (Muszyna). W praczasach lipa uchodziła za najulubieńsze drzewo tajemniczych bóstw, które przez nią ujawniały swoją dobroć, łagodność,



Szczawnica – lipa o 11 pniach.
Fot. M. Rusin



Wierchomla – lipy przy kapliczce. Fot. M. Rusin

głęboki spokój i słodką szczodrość. Ogromne znaczenie lipy w dawnych czasach pozwoliło jej dotrzeć do sędziwego wieku. Szacunek dla lipy bierze się z wymiernych korzyści, jakie z niej czerpali właściciele: daje miód, działa uspokajająco i kojąco. Lipy sadzone w pobliżu domów, jak też i dworów czy pałaców, stwarzały swoistą łączność między mieszkańcami, a otoczeniem, które było przedłużeniem atmosfery domowej poza dom. Licznie występuje w otoczeniu pałaców (park w Nawojowej) i najczęściej objęta jest podwójną opieką: ochroną przyrody i ochroną zabytków. Najgrubsze lipy osiągają w Polsce wartość obwodu 10,8 m u *Tilia cordata*, a w PPK - 5,6 m, też u *Tilia cordata* rosnącej w Moszczenicy Wyżnej.

Na terenie Parku występuje również kilka pomnikowych jesionów (*Fraxinus excelsior*). Sadzono je dlatego, że posiadały właściwości odgromnikowe i odstraszały żmije, a ich pędy służyły do karmienia świń na przednówku. Najbardziej okazałe rosną w Wojkowej i Mochnaczce. Ze względu na duże wymagania wilgotnościowe, nie zachowały się okazy pomnikowe jesionów na terenie miast.

Podobnie jak jesiony wyeliminowane zostały ze środowiska – szczególnie miejskiego – buki, które także nieodporne są na braki wilgoci w podłożu i na zapłytywanie chodników oraz imisje fitotoksyczne. W Popradzkim Parku Krajobrazowym zachowały się więc tylko w krajobrazie rolniczym (Rytro, Obidza), jako jednostki po-

zostałe po wykarczowanych lasach.

Także pomnikowe dęby w Beskidzie Sądeckim spotykane są rzadko i mimo iż dąb cieszył się wielkim szacunkiem u plemion słowiańskich, a jego żołądźce były cenną karmą dla zwierząt, nie zachowało się tutaj zbyt wiele egzemplarzy. Najokazalsze dęby na terenie PPK występują w Piwnicznej i Starym Sączu (obwód - 4,2 m)

Drzewa pomnikowe występują w Popradzkim Parku w krajobrazie rolniczym i spotykane są na miedzach, przy drogach śródpolnych oraz wśród zadrzewień przyzagrodowych. Pochodzenie ich może być różne tzn. pojedyncze egzemplarze mogły pozostać po wykarczowanych lasach lub zostały posadzone w celu spełniania konkretnej funkcji, np. zapewniały cień wypasanim zwierzętom na pastwiskach lub spełniały rolę chłodnika, odgromnika. Występują też jako drzewa "symbole" - o znaczeniu "drzewa domowego".

Wśród drzew pomnikowych znajdują się drzewa nie posiadające odpowiednich



Szczawnica – "Alejka zakochanych" - cisy, żywotniki, jałowce.

Fot. M. Rusin

parametrów, ale stanowiące otoczenie dla obiektów przyrody nieożywionej i są cenne jako zespół (drzewostan bukowy z utworami skalnymi "Wietrzne dziury").

Bardzo atrakcyjne i ciekawe egzemplarze drzew i krzewów, nie zawsze rodzimego pochodzenia, występują w parkach miejskich. Takim obiektem jest alejka



cisów, żywotników i jałowców w Parku Zdrojowym (Górnym) w Szczawnicy.

Szczególną pozycję wśród pomników przyrody Popradzkiego Parku Krajobrazowego zajmują obiekty przyrody nieożywionej. Są one dowodem na znaczną różnorodność budowy geologicznej i rzeźby Beskidu Sądeckiego i reprezentują ich istotne cechy. Wśród nich występują uskoki skalne (wodospady), skałki, wąwozy, jaskinie, koryta potoków, stawy, osuwiska oraz źródła wód mineralnych. Są to stanowiska o wartościach naukowych i dydaktycznych oraz dużych walorach estetycznych i krajobrazowych. Do najbardziej efektownych obiektów w Beskidach zalicza się występujące tu wodospady, interesujące ze względu na różne ukształtowanie



Wodospad i źródła wody mineralnej na Łomniczance. Fot. M. Rusin

progów skalnych (wodospad na Łomniczance i na Sopotnickim Potoku).

Skalisty odcinek potoku Rzyczanowskiego czy Łomniczanki ma wartość jako forma erozyjna i efektownie odsłonięty typ skał.

Inną grupą zabytków przyrody nieożywionej Popradzkiego Parku Krajobrazowego są źródła wody mineralnej wraz z towarzyszącymi wytrąceniami osadów typu martwic i ochry (źródła mineralne Łomniczanki, źródło Anna w Barcicach, źródła mineralne w Wierchomli Wielkiej). Źródła mineralne są przykładem bogactwa zasobów wodnych w Karpatach i wskazują, że Beskid Sądecki znajduje się w obrębie specyficznej strefy hydrologicznej.

Wśród form skałkowych na uwagę zasługują wychodnie i ściany skalne powstałe dzięki procesom wymywania. Przykładami są ściana skalna w Wierchomli Wielkiej oraz skałki w Łomnicy czy "Diabelski Kamień" pod Jaworzyną.

Duży udział w kształtowaniu rzeźby Karpat mają formy osuwiskowe reprezentowane w Popradzkim Parku Krajobrazowym przez staw pochodzenia osuwiskowego "Czarna Młaka" w Powroźniku.

Wiele spośród ciekawych obiektów i cennych geostanowisk nie zostało dotychczas uznane za pomniki przyrody. Zatwierdzenie ich w przyszłości przyczyni się do podniesienia znaczenia różnorodności przyrodniczej Popradzkiego Parku Krajobrazowego oraz rozwoju jego funkcji dydaktycznych i turystycznych.

Wiesław Piprek

UROKI STAREJ KRYNICY (CZĘŚĆ I)

Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w Krynicy jest w posiadaniu niezwyklej kolekcji starych fotografii przedstawiających Krynice lat międzywojennych. Twórcą tej kolekcji jest znany fotografik krakowski **Stanisław Mucha**. Jemu to właśnie zawdzięczamy udokumentowanie wyglądu starej Krynicy, budynków i obiektów, których istnienie i wygląd mają w pamięci tylko najstarsi mieszkańcy



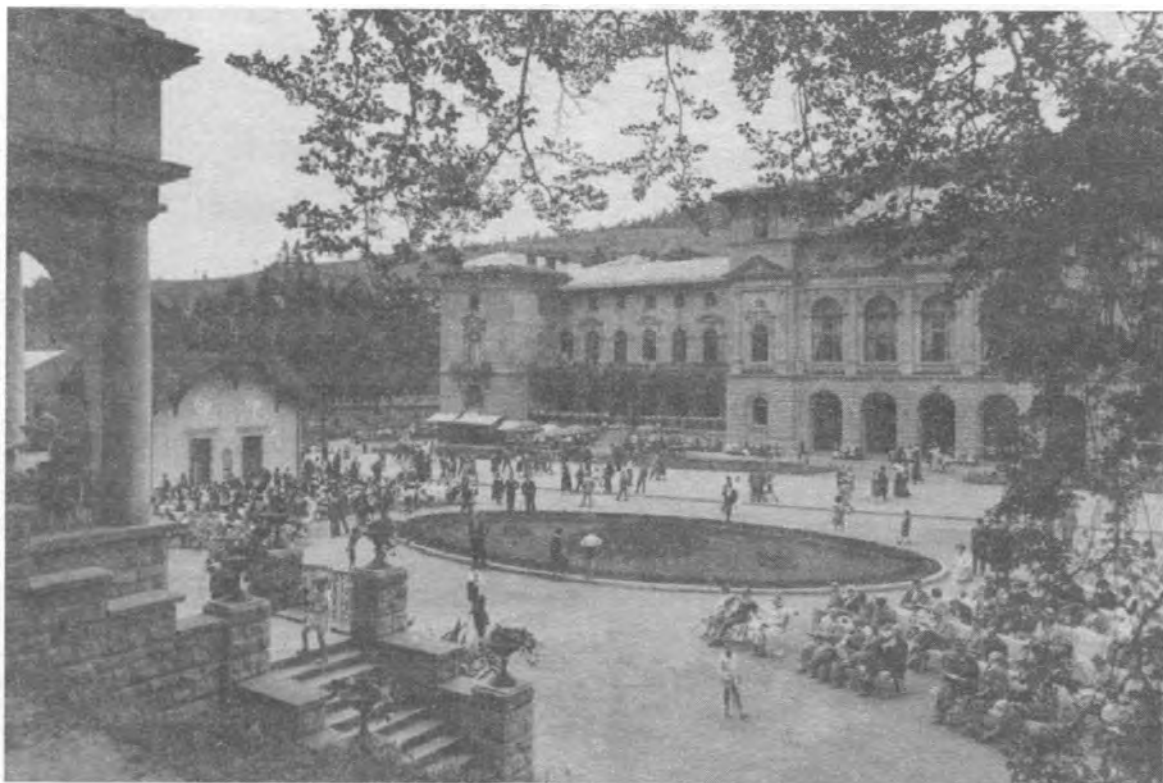
Fot. 1 — Stara Pijalnia

i bywalcy Krynicy. Kolekcja ta liczy aż 10 albumów, w sumie ponad 600 zdjęć. Chciałbym kilka z tych fotografii, z krótkim opisem przedstawić na łamach "Almanachu". W tym numerze jest ich tylko 14, ale jeżeli prezentacja ta spotka się z zainteresowaniem, będę kontynuował przedstawianie tego materiału w następnych numerach.

Równocześnie chcę podziękować władzom PTTK w Krynicy za udostępnienie tego zbioru.

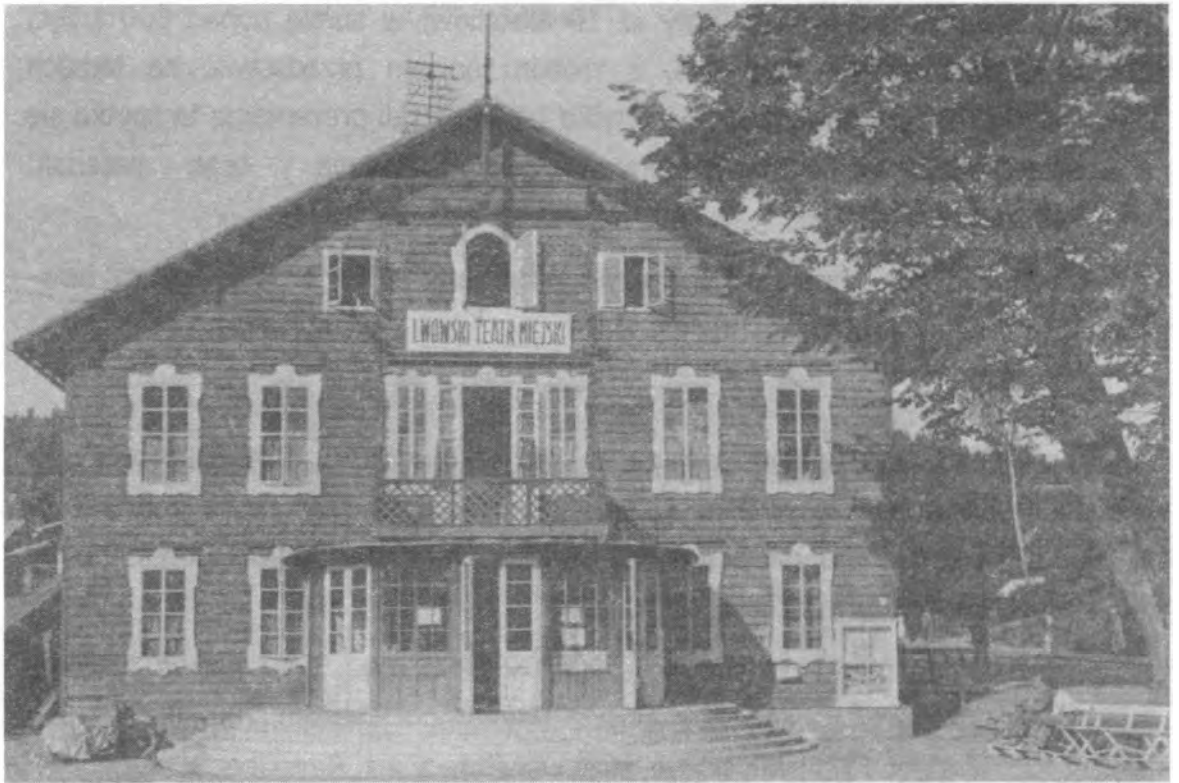
Stara Pijalnia została wybudowana w 1869 roku wg proj. F. Księżarskiego. Pijalnia ta służyła wczasowiczom i kuracjuszom przez 100 lat, rozebrano ją w 1969 r., bowiem na jej miejscu wybudowano nową na wskroś nowoczesną pijalnię, oddaną do użytku w 1971 r.

Stary Dom Zdrojowy oddano do użytku w 1889 roku, nosił nazwę "Dworca Zdrojowego". Powstał z inicjatywy Alfreda Potockiego kosztem 200.000 złr., wg proj. J. Nidzielskiego i J. Zawiejskiego, przy współpracy inż. Rayskiego.



◄ Fot. 2 — Stary Dom Zdrojowy

W Krynicy wybudowano pierwszy teatr już w roku 1871. Był to jednak budynek dość prymitywny i zawalił się pod wpływem obfitych opadów śnieżnych. W latach 1882 – 83 zbudowano nowy budynek teatru wg. proj. Tadeusza Stryjeńskiego i nosił on nazwę "Lwowski Teatr Miejski". Spłonął on 25.10.1943 roku.



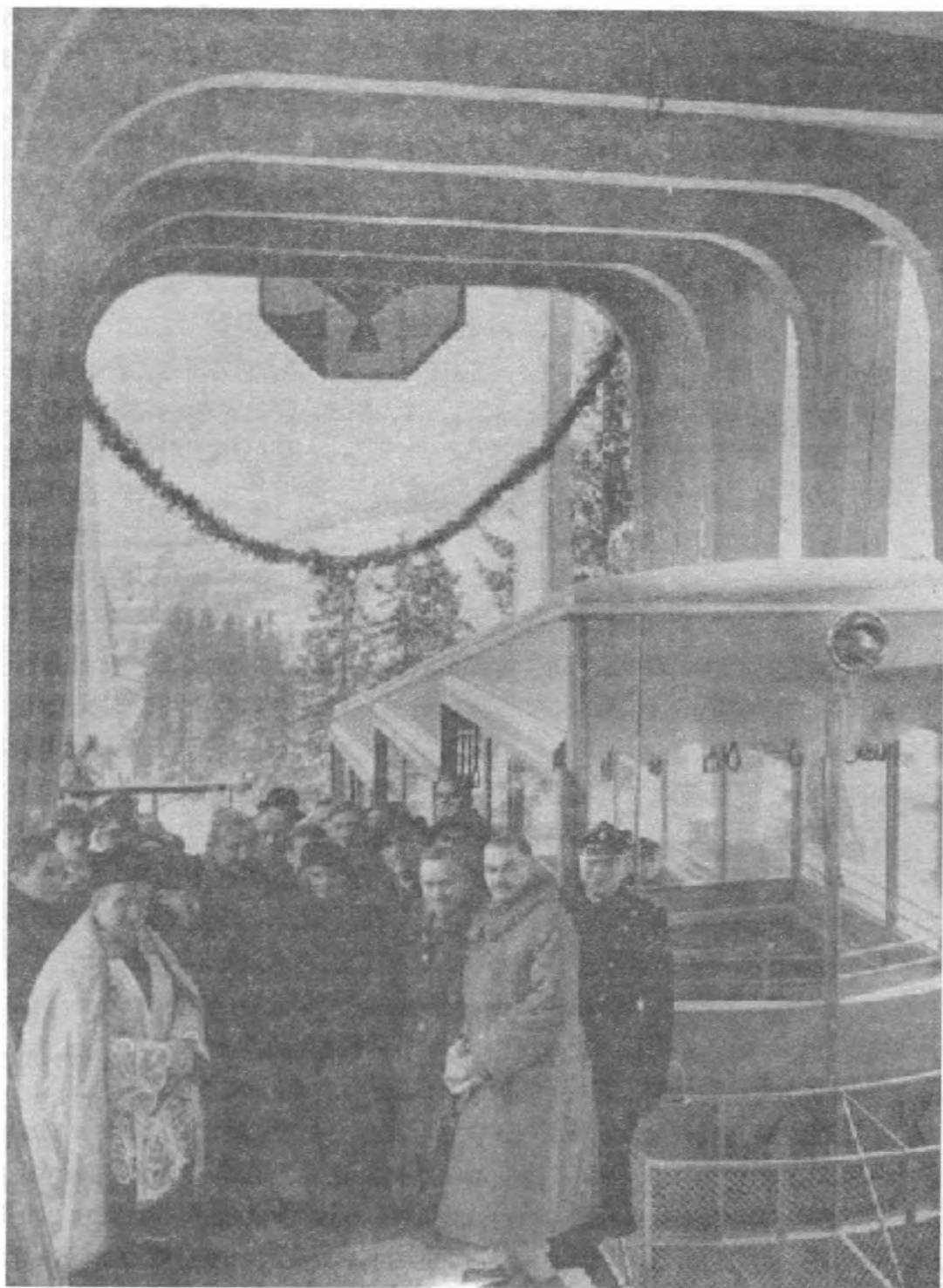
Fot. 3 — Sławy Teatr Krynicki



Fot. 4 — Kościół Zdrojowy przed rozbudową.

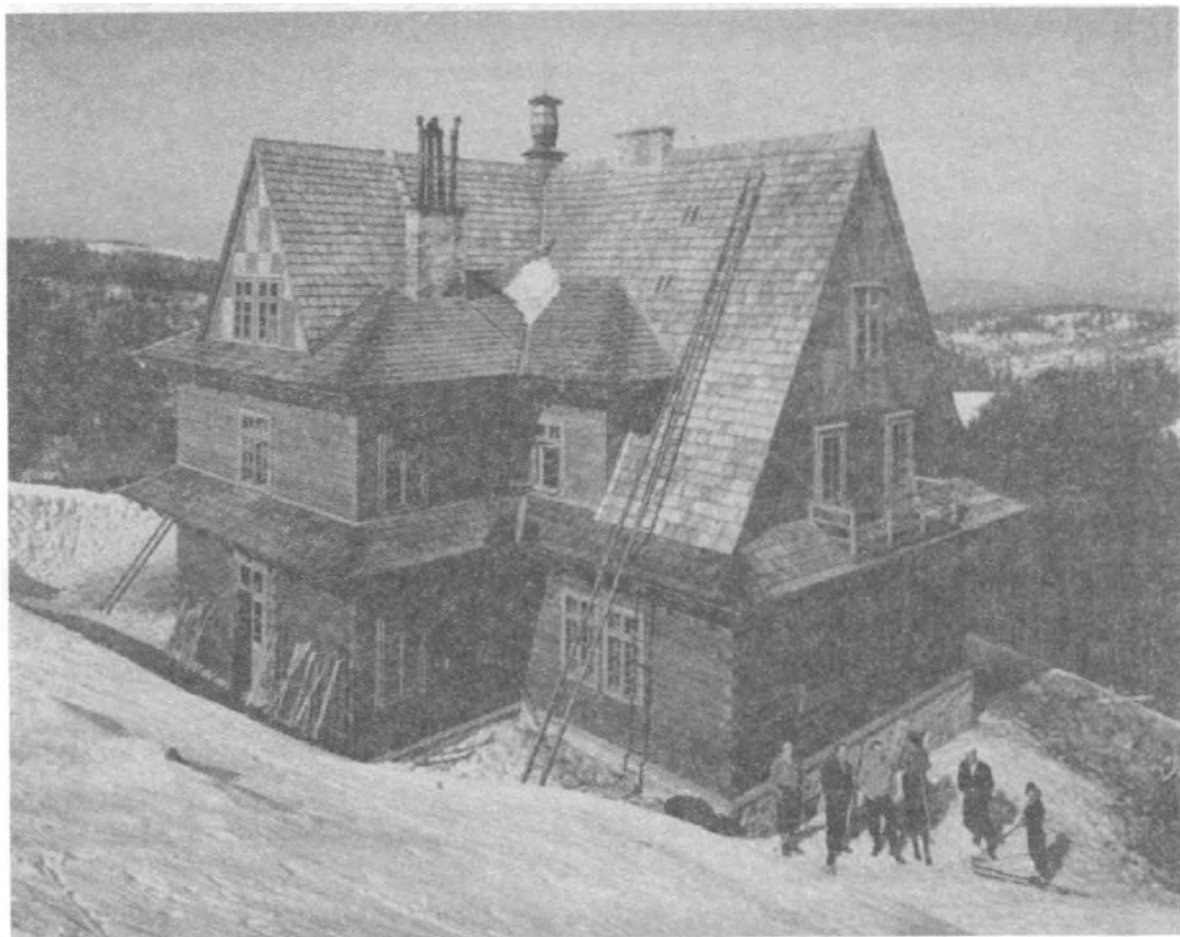
Kościół Zdrojowy NMP Wniebo-wziętej został wzniesiony w latach 1887-92, wg proj. J. Zawiejskiego, konsekrowany w 1902 roku. Rozbudowano go zmieniając układ w latach 1932-35 wg proj. Fr. Mączyńskiego.

Kolej szynowo-terenowa na Górę Parkową została zbudowana w 1937 roku. Ma ona 642 metry długości. Różnica poziomów pomiędzy dolną, a górną stacją wynosi 142 m. Górna stacja jest usytuowana na wysokości 741 m, nieco poniżej szczytu. Dziś staruszka ma konkurentkę – nowoczesną kolej gondolową na Jaworzynę Krynicką.



Fot. 5 — Moment wjazdu pierwszego wagonika kolejki na Górną Stację.

Pierwsze schronisko na Jaworzynie Krynickiej wybudowało Polskie Towarzystwo Tatrzańskie Oddział w Krynicy w latach 1934-36. Już w 1937 w sezonie zimowym ruszyło całą parą przyjmując w tym roku na nocleg 238 osób. Gośćmi byli turyści z Polski, ale również i z zagranicy. Odwiedziło je wielu sławnych ludzi, m.in. księżna holenderska Juliana z mężem, Jan Kiepura z żoną Martą Egerth, Mieczysław Orłowicz, Walery Goetel, Jan Gwalbert Pawlikowski itd. Niemcy spalili je w 1943 roku, w odwecie za rozwój ruchu partyzanckiego na jego bazie.



Fot. 6 — Dawne Schronisko na Jaworzynie Krynickiej

W styczniu 1937 roku w krynickiej, Kiepurowskiej "Patrii" przebywała w czasie swej podróży poślubnej holenderska para książęca: księżna Juliana (późniejsza królowa) ze swoim mężem niemieckim księciem Bernhardem. W trakcie pobytu zwiedzali okolicę, byli również gośćmi schroniska na Jaworzynie Krynickiej. Krynica przypadła im do gustu, bowiem pobyt tu przedłużyli o 10 dni w stosunku do wcześniej zaplanowanego.



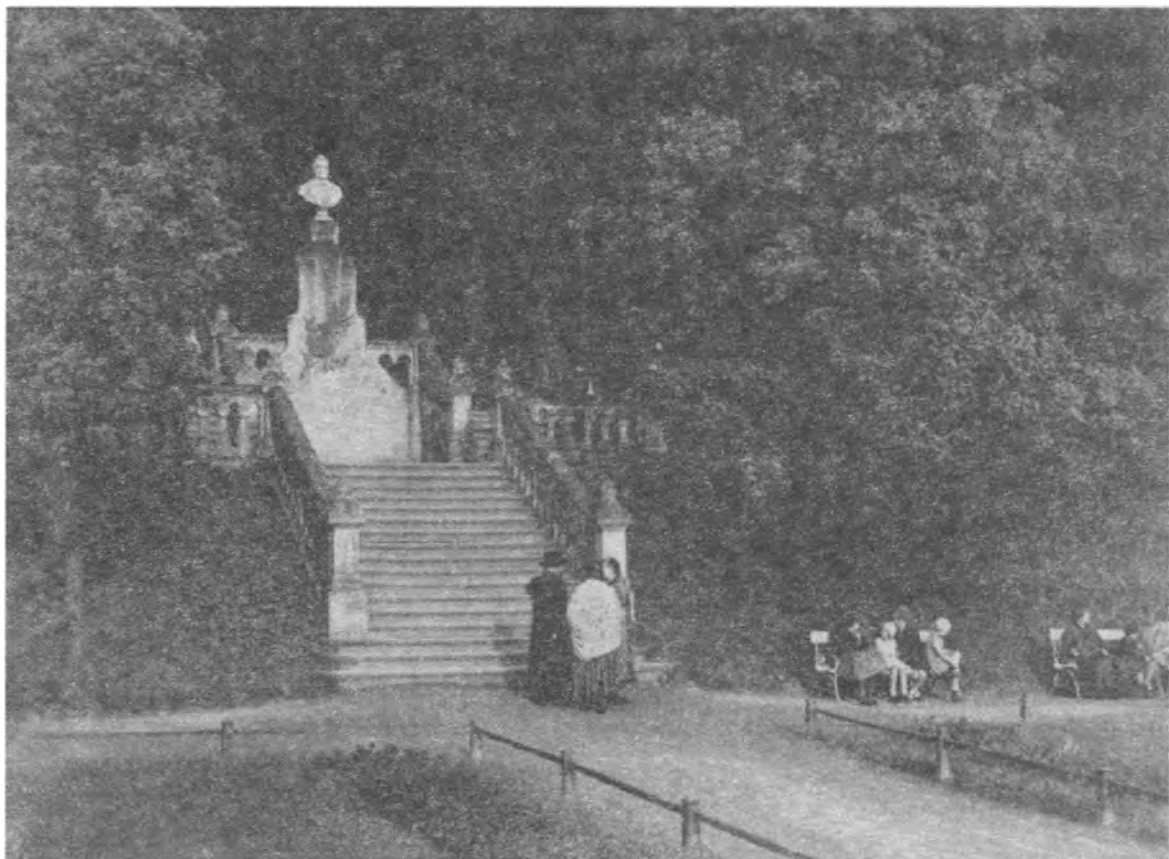
Fot. 7 — Księżna Juliana z mężem (w okularach) w schronisku na Jaworzynie w 1937 r.

Figurę Matki Boskiej Opiekunki Zdrój i Kuracjuszy (dawniej zwaną Łaskawą) postawiono na stokach Góry Parkowej w części zwanej "Łętówką" w roku 1865. Rzeźbę wykonał Haulmann wg rysunku Artura Grotgera – przebywającego w tym czasie w Grybowie, u wujostwa swej narzeczonej Wandy Monne. Identyczną statuetę NMP umieszczono również w 1865 r. na Placu Mariackim we Lwowie.



Fot. 8 — Statua Matki Boskiej na "Łętówce"

W 1881 roku odsłonięto pomnik "Ławka Kraszewskiego" wg proj. Wojciecha Gersona. Upamiętnia on pobyt pisarza w Krynicy w 1866 roku.



Fot. 9 — Pomnik Kraszewskiego



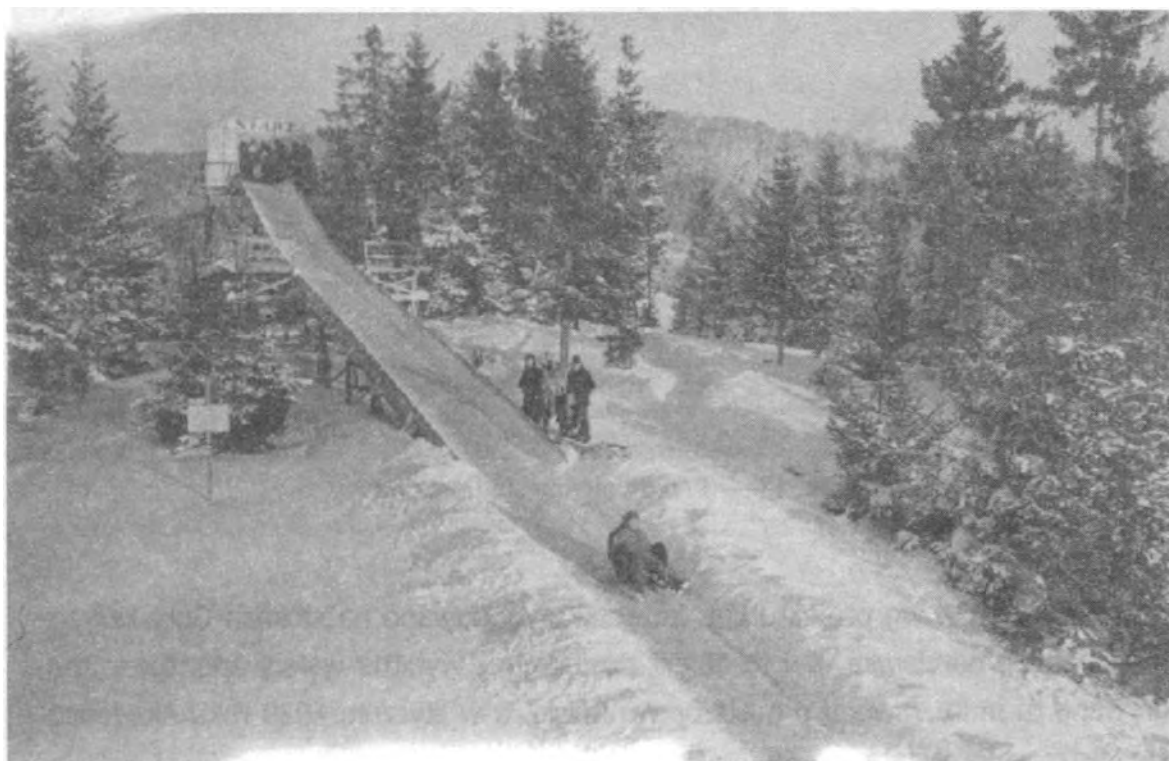
Pomnik Adama Mickiewicza odsłonięto 12 VI 1906 roku. Twórcą był Antoni Popiel. Pomysł jego ufundowania powstał w trakcie przyjęcia na cześć przyjaciela Adama Mickiewicza – Edwarda Odyńca, przebywającego w tym czasie w Krynicy.

Fot. 10 — Pomnik Adama Mickiewicza

Pomnik Kazimierza Pułaskiego i konfederatów barskich umieszczono na szczycie kopca w 1926 roku. Upamiętnia on pobyt Pułaskiego i jego wojska w okolicach Krynicy. Pomnik zniszczyli Niemcy w czasie okupacji. Rekonstruowano go w 1969 roku.



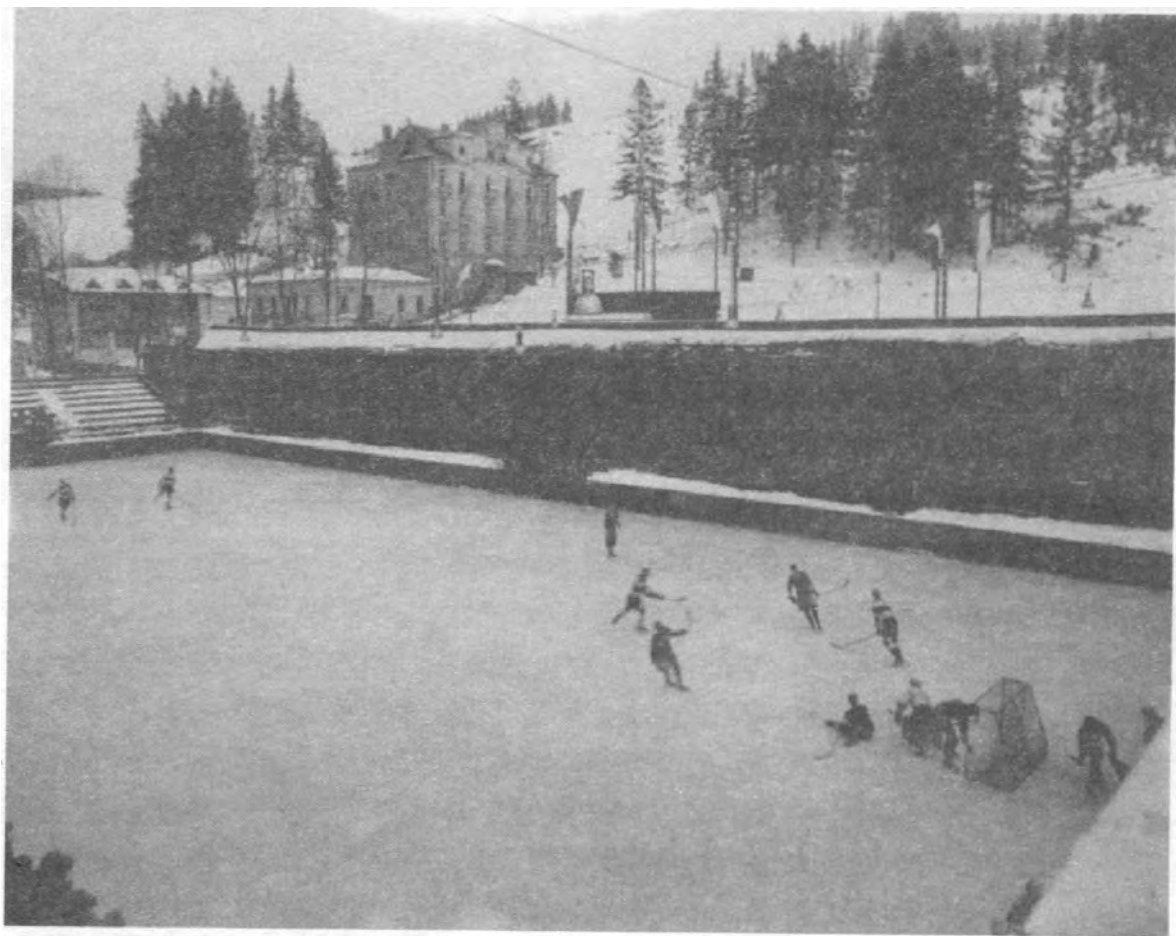
Fot. 11 — Kopiec Pułaskiego



Fot. 12 — Tor saneczkowy na szczycie Góry Parkowej.

Na stokach Góry Parkowej w 1928 zbudowano tor saneczkowy o długości 1600 m., wg proj. kpt. Loteczki. Zmodernizowano go w latach 1937 – 38. Rozgrywano tu zawody krajowe, ale również o obsadzie międzynarodowej. Niestety, w ostatnim czasie, po około 50-letnim użytkowaniu został zdemontowany.

Lodowisko zostało wybudowane w 1928 roku przy ówczesnej ul. Lipowej, gdzie dziś znajduje się Kino Jaworzyna. Odbywały się tu turnieje o randze światowej, m. in. w 1931 roku rozegrano tu Hokejowe Mistrzostwa Świata. Oprócz zawodów odbywały się tu pokazy, rewie, bale, ale było ono również normalną ślizgawką dla kuracjuszy. W lecie urządzano tu korty tenisowe.



Fot. 13 — Przedwojenny stadion zimowy.

W roku 1924 wg projektu kpt. Loteczki wybudowano na stokach Góry Krzyżowej skocznnię narciarską. Był to obiekt posiadający wybitne walory sportowe. Rozgrywano tu m.in. zawody o mistrzostwo Polski, a w styczniu 1939 roku Akademickie Mistrzostwa Świata.



Fot. 14 — Skocznia narciarska na Krzyżowej Górze.

Agata Gawronianka

WSPOMNIENIA Z MŁODOSCI

Przyszłam na świat w piątek, 24 sierpnia 1893 roku. Rodzice moi: Jan i Anna Gawron. Miejsce urodzenia: Stara Wieś - Podjabłoniec, powiat Limanowa, w dawnej Galicji pod zaborem Austrii.

Ojciec mój był synem Wawrzyńca i Katarzyny Gawron, która pochodziła z okolic Łańcuta, z rodziny Barów.

Ojciec Jan Gawron odziedziczył ładną gospodarkę u podnóża Jabłońca, większość ziemi na równinie, składającej się z 12 morgów, gdzie były pastwiska dla bydła i trochę krzaków. Reszta ziemi była zaorywana, zasiewana zbożem, sadzono na niej ziemniaki, kapustę, buraki; z niej się czerpało chleb codzienny.

Mój Ojciec był światłym człowiekiem, jak na owe czasy. Lubił czytać książki, a jego pismo było niczym jakiego wysokiego urzędnika. Był także szewcem. Robił mocne obuwie, nadające się na wieś, lecz to czynił tylko zimową porą. Na wiosnę i latem zajmował się gospodarką, przy czym także wójtował przez długie lata.

• Moja Mama była córką Mikołaja i Marii Dębskich ze Starej Wsi, z okolicy zwanej Gaik. Jej mama pochodziła z rodziny Szewczyków z okolicy Limanowej.

Moja Mama nie miała żadnej szkoły. Jednak znała drukowane litery i modliła się często z książki. Miała jednak wrodzone zdolności być dobrą żoną, matką i gospodynią.

Była bardzo pracowita, pomimo że nocami się nie wysypiała, bo cały młody wiek zajęło Jej rodzenie i wychowywanie liczного potomstwa. Wstawiała wcześniej, szczególnie letnią porą, zapalała pod blachą ogień trzaskami, gdzie w środku blachy było kółko. Do tego kółka kładła żelazny garnek z wodą, a gdy woda się zagrzała, sypała do niej pszeniczną mąkę, mieloną w domowych żarnach, i mieszając

powoli rogalem z drzewa, gotowała kaszę na ranny posiłek dla siebie, męża i rodziny. Kaszę jadało się z mlekiem, a zimową porą, gdy mleka nie było i w Poście czterdziestodniowym, bez mleka.

Czasem Mama gotowała też kaszę z mielonej perłówki, czyli jęczmienia obrobionego we młynie. Kasza ta była bardzo smaczna nawet bez mleka. Mama też gotowała kaszę ze żytniej mąki, gdy po zbiorach i wymłóceniu nasz Ojciec zawiózł zboże do młyna, do Abrama w Sowlinach. Kasza z żyta mielonego we młynie była bardzo smaczna z kwaśnym mlekiem.

Gotowanie na starym, prymitywnym piecu było bardzo trudne i powolne.

Nie było w domu bieżącej wody, trzeba ją było nosić w konewkach z małej studzienki, leżącej w dolinie z boku domu. Każdą kropelkę wody do użytku domowego, a także dla bydła, dźwigało się do góry, do domu; letnią porą, jeszcze jako tako, lecz w zimie, gdy śnieg spadł duży, zasypał drogę i studzienkę, wymagało to dużo siły i czasu. Trzeba było śnieg odrzucić, odnaleźć studzienkę, wyrąbać w niej przerębel, żeby można było zaczerpnąć wody. Dziwne, że mój Ojciec wcześniej nie widział potrzeby wykopać i wybudować studnię przed domem i oszczędzić dużo zdrowia i sił swej żonie i dzieciom, bo Ojciec wody nie nosił. Dopiero, gdy ja, już piąta z rzędu dorastałam, wykopano i wybudowano przed domem studnię z korbą i wiadrem na łańcuchu.

Gdy moja Mama zgotowała ranny posiłek i gdy go spożyto, zajęła się oborą, gdzie z pomocą dorastających dzieci napasała bydło, doїła krowy, a po dojeniu na wiosnę, latem i jesienią wyganiano bydło na pastwisko i któreś z młodszych dzieci musiało pilnować, ażeby bydło nie robiło szkody w zbożu, czy w sadzonych ziemniakach lub burakach. Pastwiska były bardzo małe i bydło wracało głodne do obory.

Krowy przez brak paszy dawały mało mleka. Ranne mleko zanosіło się do miasta do urzędniczek, za które płacono 8 centów za kwartę. Płacono po pierwszym każdego miesiąca. Pamiętam, że gdy podrosłam, nosiłam mleko codziennie do pani Dobrzańskiej, która mieszkała w domu w Sowlińskiej ulicy, niedaleko kościoła. W tym samym domu mieszkał także i miał własne biuro doktor Gnoiński, słynny na całą okolicę.

Południowe mleko było dla domowego użytku. Na wieczorne dojenie mleka letnią porą przychodzili Żydzi i zabierali je, bo pieniądze zawsze były potrzebne na domowe wydatki.

Gdy zboże dojrzało i z pola je zebrano, bydło szło i pascło się na ścierniskach.

To już dawało więcej paszy dla bydła tych, co je pasali i pilnowali. Ja też byłam pasterką przez parę lat.

Gdy nasze Matczysko zaspokoiło rodzinę i nakarmiło niemowlę, bo zawsze było jak nie to, to inne, na wiosnę szło w pole, zasiewała len, kapustę, buraki, karpiele, pietruszkę. Potem następowało kopanie ziemi, całych zagonów pod uprawę i sadzenie ziemniaków. Gdy ziemniaki zasadzono i nać trochę podrosła, zaczęło się obrabianie, czyli zmiękczenie ziemi, zwane łazowaniem, potem znów okopywanie ziemi w rowki, ażeby ziemniaki miały sposobność rósć i wydać plon. Bardzo dużo jest pracy koło ziemniaków, zanim wyrosną.

Za czasów mojej młodości sadzono trojakie ziemniaki: wczesne, które jedzono już w czerwcu, drugie, zwane kuzary, z różową skórką, wyrastały duże i smaczne, trzecie żółte; tych sadzono bardzo dużo, bo były do użycia w zimie, aż do wiosny, czwarte były zwane siwe, ze skórką fioletową; te wyrastały bardzo duże, miały w sobie dużo wody. Nadawały się do tarcia, z nich robiono jesienią bardzo smaczkowe kluski, które się jadało z mlekiem.

Poza tym siwe ziemniaki używano dla bydła jako dodatek do paszy zimową porą i dla nierogacizny. Ziemniaki się gotowało, potem gniotło tłuczkiem i posypywało mielonym owsem lub otrębami, mieszano i tym hodowano wieprze na szyneczki dla inteligencji oraz na słoninę, za którą płacono 60 centów za funt. Wyrabiano też z wieprzowiny bardzo smaczne kiełbasy i sprzedawano w sklepach wędlin po 60 centów za funt, lecz zwykły człowiek nie mógł się zdobyć na te specjały, tylko klasa urzędnicza, lub ktoś z zamożnych ludzi, lecz tych było wówczas mało; biedota wszędzie przeważała. Zwykły człowiek mógł sobie pozwolić czasem na kiskę, wyrabianą z jęczmiennych krup, lub kaszy tatarskiej ze słoniną. Kiszki wówczas też były smaczne i pożywe. Mała kiszka kosztowała 5 centów w sklepie wędlin.

Wracam znów do mojej Mamy, jaką wielką i dobrą była gospodynią. Gdy wyszła do pracy w polu na zagonie, to gdy się zbliżało południe, wracała do domu i znów zapalała ogień pod blachą i gotowała oskrobane już ziemniaki na południowy posiłek. Ziemniaki po ugotowaniu gniotło się tłuczkiem i dodawało trochę masła lub topionej słoniny, kładło do dużej glinianej miski i cała rodzina zjadała wspólnie, popijając kwaśnym mlekiem. Na drugie podanie była też pszeniczna kasza z mlekiem, a czasem gotowany ryż z mlekiem i jagłami. Mięsa nigdy się nie jadało, chyba gdy na niedzielę zabito królika, z którego był słaby rosół z ziemniakami. Czasem Mama, będąc w mieście, kupiła cielecą głowę i zgotowała też trochę polewki do ziemniaków, bo ziemniaki i kasza były głównym pożywieniem wiejskiego ludu.

Po obiadowym posiłku i wydojeniu krów, Mama z dorastającymi dziećmi znów

szła na zagon. Gdy w miesiącu lipcu dojrzało żyto, brało się sierpy i żęło całe łany żyta, układając powoli na zagonach. Gdy żyto zostało zżęte i gdy przeszło z jednej strony, szło się na drugi dzień i przewracało na drugą stronę. Gdy już wyszło po obu stronach, Ojciec przyszedł i wiązał w snopki, które się zносиło i kładło do góry kłosem dla dalszego wyschnięcia i dopiero po paru dniach zwożono do stodoły do ręcznego młócenia cepami, bo wymłócona żytnia słoma użyta była na pokrycie dachów na wiejskich chatach, stajniach i stodołach.

Dachy ze słomy były w zimie cieplejsze, a w lecie chłodne, bo słomiane kicki nie przepuszczały słońca, lecz z tym było dużo pracy. Najpierw trzeba było wyrabiać kicki, potem tymi kickami dach poszywać. Gdy te na dachu zetlały od słońca, deszczu i śniegu, trzeba było zrywać stamtąd i użyć na posłanie dla bydła, a dach poszywać nowymi kickami tam, gdzie przeciekało.

Dachy ze słomy miały jedną wadę — były zapalne w razie burzy, lub gdy się w kominie sadze zapaliły. W naszym domu przytrafiło się parę razy zapalenie w kominie, szczególnie zimową porą, gdy się więcej paliło i gotowało groch i kapustę. Wtedy brano szybko drabinę ze szczablami i konewkę z wodą i na dach, do komina chlupnięto wodą i ogień lub iskry ugaszono, a przy sposobności oczyszczono w środku komin ze sadzy.

Wieśniacza klasa radziła sobie, jak mogła, aby żyć, bo ówczesne czynniki rządzące nie dawały żadnej ulgi ani pomocy.

Żytnią słomę używano też na paszę dla bydła. Rżnęło się drobno w sieczkarniach. Potem do domu noszono i polewano gorącą wodą w specjalnie do tego zrobionych cebrzykach, dla zmiękczenia, co dokonywało się przez noc. Rano dodawało się mielonego owsa lub otrąb ze zboża i siekanych buraków. Po wymieszaniu dźwigało się do obory i kładło do żłobów lub dawano w cebrzykach i było tym się karmiło.

Poza tym używało się owsianej słomy lub jęczmiennej i mieszając ze sianem, trzęsło się grabiami. To nazywano trzęsionką, którą sięносиło w dużych koszach ze stodoły do stajni czy obory, kładło się za drabinę, która była wiszącą na ścianie przed żłobem i było tą trzęsionką dojadało.

Potemносиło się wodę w cebrzykach, ażeby było napoić, bo jak człowiek potrzebuje wody do picia także bydło, gdy się najedzą, trzeba napoić.

Była to ciężka praca zimową porą koło chudoby, jaką się miała, którą szczególnie wykonywały kobiety, czyli żony i matki z dziećmi, które się wychowywały i podraszały. Ówczesne wiejskie kobiety były podstawą narodu, a nie mężczyźni.

Kobiety rodziły dzieci i wychowywały. Prócz tego były kucharkami, piekarkami, praczkami, sprzątaczkami, gospodyniami. Nie cofały się przed żadną ciężką pracą. Młóciły cepami zboże na równi z mężczyznami, meły zboże w żarnach na chleb i kaszę, a także owies dla trzody, rznąły słomę na sieczkę dla bydła, a to bardzo ciężka praca, bo 60 lat temu wszystko wykonywało się ręcznie. Nie było prądu elektrycznego, jak w obecnych czasach. Dopiero po drugiej wojnie światowej zaczęto po wioskach i wsiach zakładać go. Przy jego pomocy można młócić zboże, słomę czy siano porznać w sieczkarni dla bydła, bo to bardzo ciężka praca, co każdy zna, kto ją wykonywał.

Mężczyźni zajęci byli orką pługiem zagonów, po orce bronowaniem czyli równaniem i oczyszczaniem ziemi z chwastów, następnie zasiewem zboża. Szczególnie w jesieni siało się żyto i zimową pszenicę. Na wiosnę zasiewano owies, jęczmień i ceter. Tą pracą zajmował się także nasz Ojciec. Za mojej młodości przez parę lat orano krowami, które po orce traciły mleko. Później orano młodymi cieluszkami, które się do tego nadawały. Po orce i zasiewach, Ojciec czasem kosił trawę dla bydła, którą się nosiło w dużych koszach daleko do domu, a na niedzielę lub święto woziło się na wózku o dwóch kołach, zwanym naprawką.

W czerwcu bywały sienne zbiórki, koszone trawę na łąkach a także koniczynę. Gdy ta trawa lub koniczyna przeszła po jednej stronie, szło się na drugi dzień z grabiami, przewracało na drugą stronę, a gdy wyschło, grabiło się i stawiało w kopy. Gdy dobrze wyschło, zwożono do schowków.

W lipcu zbierało się żyto. W miesiącu sierpniu pszenicę żęło się ręcznie sierpem całymi łanami. Sąsiedzi pomagali sobie czasem wzajemnie, to łatwiej i prędzej się zeżęło i z pola sprzątnęło. Potem odbywała się młocka, która trwała czasem aż do wczesnej zimy. We wrześniu sieczono owies i jęczmień i suszono w ten sam sposób jak żyto i pszenicę — wiązano w snopki, układano w kopy do dalszego wyschnięcia i też zwożono do stodoły, a gdy było blisko domu, nosiło się snopki na plecach do stodoły lub schowka.

W październiku było kopanie ziemniaków i noszenie w workach lub koszach do piwnicy. Także kopanie buraków, karpielei oraz zbior kapusty, zwożenie jej do schowka, obieranie z liści i rżnięcie w tak zwanej szatkownicy, to jest skrzynce ręcznie zrobionej. Potem kapustę sypano do dużych beczek, gdzie solono i deptano, aż woda wytryskała lub kapuściany sok, zwany później kwaśnicą. Następnie nakryto czystymi deskami, które do tego używano. Na deski kładziono ciężkie kamienie. Za parę tygodni kapusta była ukiszona na zimowe dni. Gotowano ją codziennie z grochem, jak nazywano fasolę i zajadano z czarnym jak noc chlebem, wypiekanym w domu co drugi tydzień.

Jesienią wywoziło się na ugory bydlęce odchody jako nawóz, potrzebny bardzo dla gleby do wydania plonów, rozrzucało się go widłami, po zagonach, później zorywało i na wiosnę na tym polu sadzono ziemniaki. Była to najlepsza i najzdrowsza metoda nawożenia ziemi pod uprawę produktów rolnych, zwana metodą organiczną.

Pamiętam, jak Ojciec używał chemiczne nawozy, zwane żużlami, produkowane w Niemczech i bardzo wychwalane. Gleba nawazona lub zasilana tymi nawozami sztucznymi wyda plon przez dwa, a najwyżej trzy lata, lecz zostanie tak wyjałowiona, że później w tej ziemi nic się nie rodzi. Za naszym domem Podjabłońcem była duża łąka, na której na wiosnę rosły śliczniutki polne kwiatuszki, szczególnie niezapominajki, siwiutki jak błękit nieba. Ojciec nasz posiał też tę łąkę żużlami. Przez dwa albo trzy lata trawa na łące wyrosła duża, a także kwiatuszki. Było wtedy dużo siana, a potem nic. Kwiatuszki wyrosły gdzieśgdzie, bardzo małe i słabe. Na drugi rok tak samo, aż zaczęło się polewać gnojówką. Powoli trawa na łące zaczęła odrastać, a z nią i polne kwiatuszki.

Jesienią nie tylko, że się robiło w polu zasiewy, kopano i zbierano produkty rolne, lecz także była młocka zboża cepami. Gdy wymłócono żyto, zaczęto pszenicę, potem jęczmień, owies na ostatku.

Gdy podrastałam, postarano się i kupiono do spółki z sąsiadem ręczną młocarnię, młócenie było szybkie, lecz ciężkie dla tych co korbami obracali — dwoje ludzi do jednej korby. Jeden człowiek zadawał zboże, ktoś snopki rozwiązywał i ktoś wygrabiał słomę, którą maszyna wyrzucała. Potrzeba było dwa lub trzy dni, a zboże było wymłócone i leżało w dużych sąsiekach do tego zrobionych. Młocka w ręcznej młocarni była ciężka i bardzo hałaśliwa. Sąsiedzi sobie pomagali i potem jedni drugim odrabiali tę ciężką pracę. Obracanie korbami w młocarni wymagało dużo wysiłku, bo choć kręciło czworo ludzi, to po tej pracy potrzebny był wypoczynek, ażeby nabrać siły.

Gdy jesienią liście z drzew opadły po krzakach i wyschły, szło się z grabiami, wygrabiało je i nosiło w dużych koszach jako podściółkę dla bydła na zimową porę. Liście kładło się też na strychu stajni dla ocieplenia, jak też ciszono nimi ściany drewnianych domów, również dla ciepła.

Robota na rolnym gospodarstwie nigdy nie była skończona.

Późną jesienią jechano do lasu aż do Żmiącej po drzewo bukowe na opał. Tam w Żmiącej Rodzice kupili parę lat temu dwa morgi lasu bukowego za 500 reńskich, a 1000 koron austriackich. Było to konieczne, bo drzewo zawsze potrzebne było na

opał zimową porą. Bukowe drzewo jest twarde jak kamień i ogrzewanie nim jest dla zdrowia nieszkodliwe. Drzewo zostało złożone w szopie lub małej stajence i znów rżnięto się je piłą na mniejsze kawałki. Potem rąbało na pniaku albo dużym kłocu na mniejsze kawałki do spalania.

Jesienią nasza Mama obrabiała len na drucianej tarlicy, z czego się bardzo ku-
rzyło. Potem biła drewnianym młotkiem, aż len zmiękczał, a następnie międziła na
drewnianej międlicy, by nadawał się do przedzenia na ręcznej kądzieli. Nad kądzie-
lą spędzała bardzo dużo czasu, bo prawie aż do wiosny. Często chodziło się do są-
siadów na prządki, gdzie przy furkocie wrzecion opowiadano różne historie. Uprzę-
dzone nici motano na motowidle drewnianym, a po zakończeniu przedzenia zano-
siło się motki do knapa, czyli tkacza, to jest człowieka, który na drewnianym warsz-
tacie tkął płótno. Człowiek ten wyrabiał ręcznie dwojakie płótno — cieńsze, które
nazywano pacześnym i twarde, grubsze, zwane zgrzebnym. Płótno było szare bez
koloru i ażeby go wybielić, wynoszono je gdy było słonecznie, rozciągano na traw-
niku i polewano zimną wodą. Gdy promienie słoneczne płótno wysuszyły, znów się
polewało i to codziennie, aż je się wybieliło. Z cieńszego płótna pacześnego Mama
ręcznie szyła Ojcu długą koszulę pod spód do noszenia, a z grubego, czyli zgrzeb-
nego, szyła też dla Ojca szerokie kalesony na ściągany sznurku w pasie.

Zgrzebne, grube płótno używane było też na prześcieradła. Łóżka były proste,
bardzo prymitywne, z prostego drzewa, zasłane słomą, którą nakrywało się tym
lnianym, zgrzebnym prześcieradłem. Człowiek po ciężkiej pracy zasypiał na tym
prymitywnym łożu twardo aż do rana. Z powodu braku miejsca w mieszkaniach,
młodzież sypiała w stajniach, czy oborach z bydłem, w tak zwanej gródzi lub na
wyrku. Gdy było miejsce wolne w stajni, zagradzano deskami, rzucano na dyle,
czyli podłogę słomy i dużo młodych mężczyzn, zwanych parobkami, sypiało
w takich grodziach. Gdy nie było miejsca na gródź, robiono w stajni pod powalą
wyrka, wysłane też słomą. Tam się wylaziło i zasypiało smacznie aż do rana. Spa-
nie z bydłem było dla zdrowia nieszkodliwe, choć prymitywne. Letnią porą sypiało
się na górze, czyli na strychu na sianie. Było to bardzo zdrowe, bo w sianie były
pachnące polne kwiatuszki. Chłopcy sypiali letnią porą także w stodołach lub szo-
pach.

Nasza Mama hodowała także gęsi. Pamiętam jeden rok, może 1905 lub 1906,
gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, Mama poszła daleko, pieszo do miasteczka
Kamienica. Tam hodowano i sprzedawano małe gąsiątka. Może tam w pobliżu była
rzeka, bo koło rzeki hoduje się gęsi i kaczki. Mama kupiła tam wtedy ładne, małe
gąsiątka i sama przyszła z nimi z powrotem, popędzając je patyczkiem. Nie mam
pojęcia, jak Mama mogła to wykonać. Byłam za mała i nie rozumiałam, ile siły

i zdrowia nasza Mama poświęcała dla swej rodziny. Nie było wtedy żadnej komunikacji z miasta do miasta lub od wsi do wsi, a na furmankę nie można było sobie pozwolić, bo nie było grosza.

Młode gąski zaczęły podrastać, lecz nagle jedna po drugiej zdychały. W to lato przyszła na drób jakaś nieznana wtedy epidemia, bo nie tylko gęsi ale i kury zdychały. Mama miała w ten rok bardzo ładne kokoszki z biało-szarym upierzeniem. Kokoszki te wychodziły po szczeblowej drabinie na górę. Tam znów fruwały na sąsieku, z sąsieka na żerdzie, gdzie siadały letnią porą na noc. Pamiętam, jak na dół spadały nieżywe. Mama tę stratę, bardzo rzewnie opłakała, bo w ten rok nie było jajek na sprzedaż ani kur, które przeważnie kupowali Żydzi lub Żydówki.

Choć hodowano kury, lecz jajek nigdy się nie jadało, chyba gdy czasem zrobiono ciasto, zwane zacierką. Do zacierki dodano ze dwa jajka, zgniotło mąkę z wodą, bo czasem kupiono w mieście ze 2 funty białej mąki i z tej mąki była zacierka z dodaniem mąki domowej. Gdy zacierka była zagnieciona, urywało się palcami i rzucało na gotującą wodę. Nie było miejsca ani czasu na wałkowanie ciasta, zwane makaronem, lecz na zacierkę lub kluski, o której mówiono: *"Urywa się i puszcza się"*.

Po stracie, którą Mama opłakała i ciężko przeżyła, pozostałe 2 gąski Mama zatrzymała i zaczęła sama gęsi hodować. Ku wiośnie one znosiły jajka i zaczęło się wysiadywanie. W ten rok nie było prosiąt i gęsi ulokowano w chlewku, gdzie było miejsce dla prosiąt. Brakowało opału, więc w niedalekich krzakach ścięto olszynę i przywlekło do domu. Potem porznięto się na kawałki, które znów rąbano na kłocu. Wtedy gąsiątka miały się wylęgać z jajek. Hałas przez rżnięcie drzewa i rąbanie kawałków siekierą na mniejsze zagłuszyło pisklęta w jajkach, że tylko troje czy czworo się wylęgło — pozostałe były nieżywe. Była to druga, ponowna strata spowodowana przez nieświadomość, niewiedzę, jak się obchodzić, że potrzebna cisza i spokój, gdy pisklęta mają się wylęgać.

Dopiero na trzecią wiosnę Mama miała młode gąski. Ale te potrzebują dużo żarcia, latają, szukają, pchają się do mieszkania. Gdy podrosną, trzeba je bardzo pilnować, bo lecą na zagony, gdzie rośnie zboże i robią dużo szkody. Gdy rzeka jest w pobliżu, lecą do wody i spędzają tam dużo czasu, czasem złapią rybkę i głód zaspokojał. Po żniwach było już lżej, bo gęsi szły na ścierniska. Tam się dużo zabawiały, zjadały zboże z pozostałych na zagonach kłósi.

Hodowla gęsi w naszym domu była potrzebna z powodu ich upierzenia. Letnią porą oraz wczesną jesienią Mama podskubywała każdą gęś, bo gubiły piórka. Wtedy gąski potrzebowały dużo wody, bo podskubywanie je osłabiło, to się lalo wodę

do drewnianych cebrzyków i gąski tam się ochładzały. W jesieni, gdy Mama sprzedawała gęsi, to kupująca odliczała 50 centów za pióra, bo podobno średnia gęś ma na sobie ćwierć funta upierzenia z puchem.

Późną jesienią Mama wypasała niektóre gąski, brała na kolana otwierała dziób i wkładała im kluski ze zboża. Była to dobra metoda, bo gęś wnet nabrała tłuszczu, który się po wysmażeniu jadało z chlebem.

W zimie zaczęło się skubanie tych piór całymi dniami. Tylko niedziela była wolna, że się nie skubało. Skubanie musiało być skończone przed wiosną, szczególnie przed Wielkanocą, bo gdy wiosna zawitała i na dworze robiło się ciepło, nad skubaniem nikt by nie siedział. Podobnie, jak przy przedzeniu lnu, tak i przy skubaniu pierza chodziło się "na skubanie" do sąsiadów, by skubiąc pierze, zabawiać się opowiadaniem różnych historyjek.

Po długiej zimie cieszone się wiosną, a także z nadchodzącymi Świąt Wielkanocnych. Zaczęło się bielenie ścian wapnem, zmywanie grubych, prymitywnych ławek, bo oprócz łóżek tylko ławki były umeblowaniem w chłopskich, wieśniaczych chatach.

W Wielki Piątek lub Wielką Sobotę Mama oprócz zwykłego chleba piekła z białej mąki tak zwane buchty na brytfannach, na które czekało się całą zimę, a w czterdziestodniowym poście jadało się jałowiznę, bo tak kazali w kościele. Jadało się kaszę bez mleka, ziemniaki z kiszonym ze zboża barszczem, bez żadnego tłuszczu. Czasem Mama dodała do barszczu suszonego grzybka i barszcz był smaczniejszy, no i jadało się ten czarny chleb z herbatą. Czasem Mama kupiła w Limanowej w tamtejszym sklepie powidła ze śliw, to ten czarny chleb się posmarowało i głód zaspokoilo.

Gdy święta nadeszły, w bogatych domach mieli kielbasę, gotowane jajka i biały, pieczony chleb. We Wielką Sobotę niesiono te przysmaki do kościoła dla poświęcenia. Zwano to święconką i w Niedzielę Wielkanocną zjadano te przysmaki, bo po przeżytych czterdziestu dniach żołądki potrzebowały lepszego odżywienia. Lecz w domach biedniejszych kielbasy nie było. Spożywano może po jajku lub dwóch i biały chleb, zwany buchtą.

Tak pracowało się i odżywiało za czasów mojej młodości, gdy żyłam pod rodzicielską strzechą.

Chicago, dnia 27 lutego 1978 r.

Opracowanie: Leszek Zakrzewski

EUGENIUSZ ZAKRZEWSKI. PAMIĘTNIKI WOJENNE – WRZESIEŃ 1939 – 1943

Tym opracowaniem chciałbym uczcić pamięć niezwykle skromnego człowieka, jakim był mój Stryj Eugeniusz. Pamiętnik ten spisany został niedługo po wojnie, stąd też zawiera spojrzenie na pewne wydarzenia z dystansu pełnych wojennych doświadczeń autora.

Eugeniusz Zakrzewski urodził się 13 czerwca 1923 w Jaworznie. Ojciec – Michał, ochotnik odsieczy Lwowa i wojny przeciw Ukrainie 1918 – 1919, którą przeżył w składzie 9. i 16. kompanii 5. pp Legionów oraz przeciw bolszewickiej Rosji 1919 – 1920, uczestnik bitwy warszawskiej w składzie 7. baterii III dywizji 16. pp IV Dyw. Art. Polowej. Matka – Zofia z Nowaków. Wyniesione z domu, patriotyczne tradycje i wychowanie miały istotny wpływ na dalsze życie młodego chłopca. Gdy wybuchła wojna, był przodującym absolwentem II klasy działu malarskiego Publicznej Szkoły Doksztalującej Zawodowej Nr 1 w Nowym Sączu. Należał do



Związku Strzeleckiego, gdzie on i jego rówieśnicy, przygotowywali się do służby Ojczyźnie na wypadek wojny. Nikt świadomy tragedii nie tak dawno zakończonej Wojny Światowej nie chciał do siebie dopuścić myśli o ponownym konflikcie, a jednak już niebawem zły los popchnął znowu rzesze ludzi na długą, wojenną tułaczkę. Wśród nich znalazł się także młody, szesnastoletni uczeń z Nowego Sącza.

Eugeniusz Zakrzewski

Wrzesień 1939 - Nowy Sącz

Ranek słoneczny. Radio zapowiada wojnę. Niemcy przeszli granicę (ok. 5 rano). W godzinach południowych pierwszy nalot. Mieszkamy przy Źródlanej 788.

2 września

ZS (Związek Strzelecki) organizuje służbę wartowniczą dla ochrony głównych sieci miasta przed dywersją. Drugi nalot. Messerschmitty ostrzeliwują warsztaty kolejowe. Musimy się strzec kolonistów niemieckich z pobliskich okolic (Świniarska oraz Dąbrówki Niemieckiej, a także z samego miasta) przed szpiegostwem i dywersją.

3 – 4 września

Pełnię służbę wartowniczą na moście heleńskim i przy elektrowni na Przeta-kówce, dzień i noc na zmianę. Kwaterujemy w sali konferencyjnej w miejskim ratu-szu. Eskadry Dornierów przechodzą nad naszymi głowami. Miasto pustoszeje. 1. P.S.P. wyruszył na front.

Pozostała część rezerwy i intendentura gospodarcza koszar przy ul. Piłsudskie-go. Mobilizacja rezerwy w pierwszych dniach nie zdołała wyekwipować wszystkich, tak że część rezerwy powróciła, oczekując dalszych rozkazów.

5 września

Rano, po wypełnieniu warty przy moście heleńskim, dowiaduję się o wymarszu z miasta naszego oddziału oraz reszty 1 P.S.P. z koszar, z powodu zagrożenia mia-sta przez Niemców. Idę pożegnać się z Rodzicami. Około południa wyruszamy z miasta w zwartych szeregach na Grybów. W mieście pozostaje policja. Stacje ko-lejowe i szosy przepełnione ewakuantami. Częste naloty i ostrzeliwania szos i pociągów przez samoloty niemieckie. Pierwszy postój mamy w połowie drogi do Grybowa, przy karczmie przydrożnej. Słońce dopisuje.

6 – 9 września

Upały. Maszerujemy naprzód. Po krótkich postojach przechodzimy przez Gry-bów, idziemy w stronę Gorlic. Z Gorlic wymaszerowujemy rankiem do Jasła. Na szosach nieład z powodu ewakuacji, ludzie w niepewności opuszczają domy i kierują się naprzód bez żadnego celu. Korzysta z tego awiacja niemiecka bombar-dując i ostrzeliwując szosy.

9 – 10 września

Dochodzimy do Sanoka. Wypoczywamy przez jeden dzień w miejscowych ko-szarach i uzupełniamy swój ekwipunek wojskowy.

10 – 11 września

Maszerujemy do Przemyśla. Miasto uszkodzone częściowo przez bombardowanie. Po chwilowym wypoczynku kierujemy się na Sambor. Dochodzimy do linii frontu. Artyleria towarzyszy nalotom. Odłączone oddziały wojskowe rozbite. Przerwaną linią frontu wycofują się w nieładzie. Po przejściu pierwszego chrztu wojennego wycofujemy się na Drohobycz. Dowiadujemy się o dywersji ukraińskiej w okolicznych wioskach i pojedynczych oddziałach wojskowych.

Drohobycz, 12 – 15 września

Stacjonujemy w rafinerii nafty "Polmin". Miasto uszkodzone bombardowaniem. Dwa rezerwuary w płomieniach. Pozostałe chronimy, aby zaopatrywały wojsko w benzynę. Przez cały czas pełnimy wartę na "Polminie" i "Galicji", wraz z miejscowym oddziałem ZS. Wysyłamy patrole do okolicznych wiosek przeciw dywersji ukraińskiej.

16 września

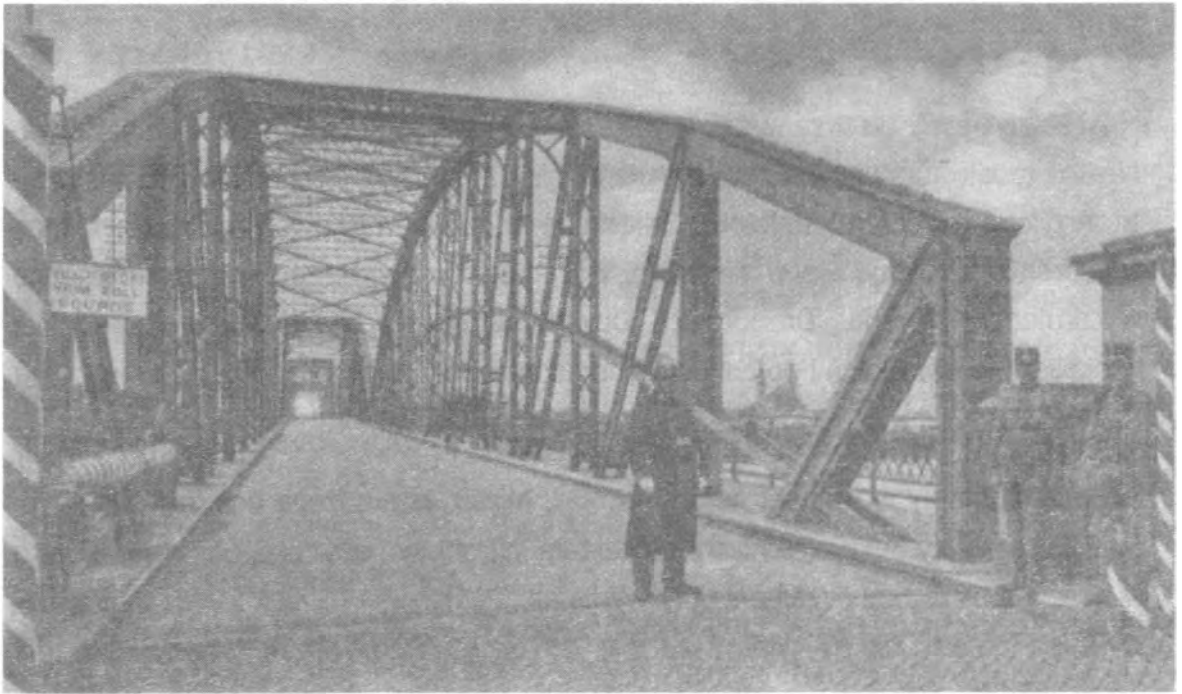
Niemcy zbliżają się. Pierwsze niemieckie patrole pancerne zostały zlikwidowane przez obronę. Dla nas w podarunku został samochód ciężarowy niemiecki w bardzo dobrym stanie. Na rozkaz w nocy przenosimy się do Stryja, częściowo zmotoryzowani. W nocy kwaterujemy w pobliskim szpitalu. Rankiem wczesnym kierujemy się na Stanisławów wraz z oddziałami wojskowymi różnych formacji. Oddział nasz (ZS z Nowego Sącza) jest powiększony o oddział z Drohobycza. Około 20 km od Stanisławowa dowiadujemy od przednich patroli, że bolszewicy są w mieście. Dobra pułapka, i to z obu stron! Wracamy do Stryja i po krótkim odpoczynku kierujemy się na Dolinę i Nadworną. Po dwóch prawie dniach dochodzimy nad ranem do granicy Węgier.

Na strażnicy KOP 19/20 września

Na rozkaz zdajemy broń, później w zwartych szeregach przechodzimy granicę pod opieką "Madziarów" z "widelcami", z żalem spoglądając w stronę ziemi ojczyстей, pozostawionej na niełaskę dwóch wrogich okupantów. W parę godzin później patrole sowieckie okupowały granicę, odgradzając reszcie oddziału możliwość jej przejścia.

Węgry, 20 września 1939 - 4 lutego 1940

Po przejściu granicy na Rusi Zakarpackiej uderza odmienny charakter Niziny Węgierskiej. Winnice, melony, arbuzy, kukurydza, groch, pszenica oraz drzewa



Komárom – most na Dunaju

owocowe śliw i orzechów włoskich zmieniają charakter spotykanej dotąd gospodarki rolniczej. Węgrzy, choć bardzo karni i po uszy zbrojni, są dosyć uprzejmi.

Pierwszą noc spędzamy w koszarach (nie pamiętam nazwy miejscowości); traktowani jesteśmy jak żołnierze w całym tego słowa znaczeniu. Kolacja bardzo obfita w paprykę, do której nie jesteśmy przyzwyczajeni. Koszary bardzo przyzwoite i widać porządek na każdym miejscu. Słoninę gotowaną z papryką, otrzymaną do chleba oprócz kawy na kolację, nie mogąc zjeść, zostawiłem nie po wojskowemu pod siennikiem łóżka.

21 września

Rano po śniadaniu sformowano nas w szeregi i odstawiono na pobliską stację. Po kilkugodzinnej jeździe w wagonach towarowych, wylądowaliśmy w Komárom. Pasem granicznym był przepływający tutaj Dunaj. Na stacji pod eskortą Madziarów przeszliśmy most udając się do barbakanu – dawniej austriackiego, obecnie węgierskiego arsenału, gdzie mamy zakwaterować. Mury kamienne, bodajże na 7 – 9 m wysokie, okienka strzelnicze. Mur gruby ok. 1 m. Nie bardzo przyzwoite miejsce. Nasze przyjście powitały internowane już w tym miejscu oddziały pancerne ze Lwowa i część rezerwy z 1. P.S.P. Kwatery bardzo złe – po prostu w salach ciemnych, betonowych, na słomie po 25–30 ludzi na komnatę. Kuchnia dobra, bo na fason polski. Cały dzień następny spacerujemy naokoło wałów wspominając przeżyte chwile na ziemi ojczystej. Porządek organizacyjny dość dobry - apele ranne

i wieczorne kończą się modlitwą i śpiewem. Do miasta nie można wychodzić pojedynczo, lecz tylko grupowo po zakupy tytoniu, żyłek itp., pod opieką wartownika. Obóz jest strzeżony – jesteśmy "pod wartą" dzień i noc. W niedzielę chodzimy zwartą grupą do kościoła pod opieką dwóch wartowników. Trochę nudzi się. Ja rysuję i maluję zakupionymi kredkami. Kolega **Piękoś** – przyjaciel z mego miasta, towarzyszy mi dzielnie. Po pierwszych dziesięciu dniach dostajemy żołd wynoszący 2 pengó, wartości ogólnej 2 zł polskich. Bractwo zaopatruje się w artykuły codziennego użytku u handlarki, która przychodzi z owocami, lub przez emisariuszy, którzy zostali wydelegowani do miasta na zakupy. Reszta pieniędzy daje możliwość zajęcia czasu i przegrania ich w karty, choćby w nocy przy świeczce. Najgorsza sprawa, to pranie. Po prostu musimy organizować je sobie sami i to prymitywnie - w menażkach, kociołkach lub puszkach z konserw na wolnym ogniu. Słoma stanowiąca nasze łóżce zmieszana z kurzem, z biegiem czasu sprowadza stworzonka najworniejsze ludzkiej skórze (czarne i białe). Trudno je wytępić w takim zbiorowisku. Najbardziej lubią bieliznę czystą i przełazą sobie z jednego na drugiego bezkarnie. Tępiemy je jak możemy. Tak mijają dni, tygodnie i miesiące. Areszt wojskowy przy wartowni obfituje nieudanymi uciekinierami. Ochotniczo grupy idą do pracy na lotnisko lub do okolicznych gospodarzy, do pomocy przy gospodarstwie. Dwóch uciekło (posługując się pasami głównymi pospinanymi) przez mur. Warty zaostrzone. Jeden z kolegów z oddziałów pancernych skoczył z muru - i to prosto na stojącego pod murem wartownika. Wystrzałem zaalarmowana warta przybyła na miejsce wypadku z kocem (złamanie nogi było udawane celowo). Wszyscy bardzo ciekawi, otoczyli wartę wraz z kocem w środku, naprzeciwko wartowni. Wtem kolega prosi, aby zrobić wolne miejsce w kole, gdyż chce wstać. Zrozumieliśmy. Skorzystawszy z nieuwagi warty, skoczył poza krąg. Madziarzy – oszukani - wszczęli alarm. "Niestety", kolega nie został wykryty, pomimo apelu i rozpoznawania prowadzonego przez oficera warty i wartowników. Stan wewnętrzny zaostrzony. Madziarzy źli na swoją gapowatość i nieuwagę. "*Polacy są bardzo sprytni*" – wyraził się jeden z oficerów węgierskich.

10 – 11 listopada 1939

Część naszego obozu z powodu przepełnienia zostaje przeniesiona gdzie indziej. O godzinie drugiej lub trzeciej po południu, samochodami ciężarowymi opuszczamy obóz w dzień zadymki śnieżnej. Na szczęście i ja jestem w tym oddziale. Jedziemy na Esztergom przez Parkany do wioski zwanej Bátorkeszi. W Parkanach napotykamy obóz cywilny. W niskim i dość obszernym gospodarstwie rolnym w Bátorkeszi mamy zakwaterować się. Bardzo nam się to podoba – w porównaniu z warunkami poprzednimi. Mamy być strzeżeni przez żandarmerię wojskową (tzw.

"kogutów"). Kwatery, choć dość schludne, jednak na taką ilość ludzi dosyć szczupłe: po 10–15 na pokój, ale już na siennikach, chociaż dalej na podłodze. Porządek wojskowy. Apele ranne i wieczorne przy obecności dowódcy placówki żandarmerii węgierskiej. Dni mijają bez zajęcia, na przechadzkach i grze w karty. Ja, ponieważ nie bardzo lubię karty, wychodzę często na spacer w okolice. Spoglądam na zburzone i poniszczone gospodarstwa słowackie w tejże stronie. Węgrzy bezwzględnie podporządkowali sobie mieszkających tu Czechów i Słowaków. Słowacy są wystraszeni, unikają z nami rozmów. Może i do nas, Polaków, czują żal za swoją niedolę? Przed rokiem z Niemcami zajmowaliśmy Zaolzie. Hitler w niedługim czasie i nam narzucił jarzmo okupacji. Zima bardzo piękna z częstymi przymrozkami. W niedziele uczęszczamy na msze do pobliskiego kościółka wiejskiego zwartymi szeregami. Węgrzy w tejże wiosce są katolikami i są dosyć nam przychylni.

Wyżywienie jest dobre, żołd 2 pengo, oprócz tytoniu i kart, wydajemy go na owoce i wino miejscowe: dobre i tanie. Czasami niektórzy pozwalają sobie za dużo, upijając się i robiąc kłopot towarzyszom. Jeżeli zostają publicznie przymknięci przez żandarmerię na parę dni, nie jest to przyjemne i dla ogółu, gdyż zaostcza stosunki z władzami i krępuje swobodę, ograniczaną wtedy dla utrzymania porządku. Wraz z moim kolegą Piękosiem jesteśmy zapraszani w gości przez rodzinę miejscowego lekarza. Czas upływa bardzo przyjemnie, jesteśmy bodajże najmłodszymi żołnierzami naszego obozu, darzonymi sympatią ogółu i Węgrów, co nas bardzo krępuje, gdyż my czujemy się dorosłymi i chcemy być traktowani na równi z innymi.

Wigilia

Pierwsza Wigilia poza domem. Pocieszamy się jak możemy, składając sobie serdeczne życzenia na przyszłość. Wieczór spokojny, mroźny trochę, ale przyjemny. Prawdziwie polska zima. Po wspólnym opłatku i skromnym posiłku obozowym, wyszedłem na dwór. Niebo gwiazdziste i śnieg dodawały uroku tej chwili. Zwróciłem oczy ku stronie, skąd wyszedłem. Duchem starałem się wziąć udział w wieczerzy wigilijnej z rodziną. Życzenia świąteczne wraz z nowościami z domu otrzymałem przed Nowym Rokiem. Po północy, tj. pasterce, złożywszy się wspólnie, kupiliśmy na salę dwa wiadra wina. Nie przyzwyczajony do trunków, upiłem się jak świnia, tak że prawie na czworakach zaszedłem do łóżka. Mój kolega Piękoś z radości chciał koniecznie skakać przez okno – jednak wytłumaczono mu, że to jednak nie jest dobry pomysł. Po długich namowach zgodził się i poszedł spać. Kolega **Wiśniewski** z Drohobycza wszczął kłótnię i w wojowniczym nastroju rozbił szybę pięścią, a pięść poranił szkłem. Zdołano go jednak uciszyć. Tak zakończył się wieczór wigilijny. Nowy Rok przeszedł już spokojnie.

1 stycznia 1940

Europa nadal walczy przeciw wspólnemu wrogowi. We Francji, z końcem września, za interwencją gen. Sikorskiego, organizuje się Armia Polska do dalszej walki z najeźdźcą. W naszym obozie jest dwóch tajemniczych łączników z konsulatu polskiego, którzy ułatwiają emigrację przez Budapeszt. Wraz z innymi, ochotniczo wysunąłem swoją kandydaturę. Odpowiedź wraz z ubraniem cywilnym z konsulatu otrzymałem pod koniec stycznia, a za tydzień stawilem się w konsulacie w Budapeszcie u mjr. Młotka, zajmującego się wysyłaniem kandydatów bądź to legalnie, bądź też przez zieloną granicę do Francji. Termin 6 lutego został wyznaczony i dotrzymany przez grupkę uciekinierów z obozu Bártorkeszi, składającą się z czterech osób. O godzinie 5 rano ubraliśmy się i wystroili na cywilnych elegantów i chyłkiem wysunęliśmy się z obozu w stronę pobliskiej stacyjki. Śnieg prószył, było szaro i ciemno wszędzie wokół. Na szczęście wszystko poszło gładko i bez przeszkód. Jeden z nas kupił bilety – później wpakowaliśmy się do pociągu jadącego w stronę Budapesztu. W godzinach popołudniowych, około trzeciej, byliśmy na miejscu. Skierowaliśmy się do konsulatu. Zameldowaliśmy swoje przybycie, przedstawiając posiadane paszporty. Otrzymaliśmy przydział do hotelu i restauracji na czas pobytu – do chwili wyrobienia dla nas wiz zagranicznych. We wspomnianym hotelu, spotkaliśmy kilku naszych kolegów którzy przybyli z tymi samymi co my zamiarami. Nawet pewnej nocy odwiedzili nas koledzy z Polski – narciarze – a raczej bardzo przystojna narciarka ze swoim bratem, którzy zdołali na nartach przedrzeć się górami przez granicę do Węgier. Dzielna parka!

Po załatwieniu wszystkich formalności i wiz, cała grupa została wezwana do konsulatu i po odprawie ze stacji północnej, o godz. 11¹⁵ w nocy opuściliśmy piękny Budapeszt, który może ze wszystkich poznanych miast zostawił mi wspomnienia najlepsze. Z 23 na 24, wyjechaliśmy grupą w stronę Jugosławii; najlepiej pamiętam Zagrzeb, w którym czekaliśmy dość długo na pociąg w stronę Mediolanu. Później Turyn, a ostatnie miasteczko to Modane. Małe miasteczko w Alpach na granicy włosko-francuskiej. Tutaj zameldowaliśmy swoje przybycie w polskiej placówce wojskowej i zostaliśmy skierowani do miejscowych koszar strzelców górskich armii francuskiej.

Na drugi dzień wyjechaliśmy już większą grupą do obozu zbornego w Breście. Tam po przejściu komisji wojskowej i lekarskiej – po raz drugi od Budapesztu – zostaliśmy wydelegowani grupą bodajże 150 osób do głównego obozu wojska polskiego w Coëtquidan w Bretanii. Tam ponownie komisja lekarska i po paru dniach, grupowo przydział do poszczególnych pułków. Ja z moją grupą zostałem skierowa-



Coëtquidan – pierwszy z prawej autor pamiętnika

ny do Plelan – miejsca stacjonowania 2. Pułku Grenadierów 1. Dywizji Armii Polskiej we Francji.

Kwatery nasze zresztą bardzo liche – w stodołach i na strychach chałup bretońskich. Zaraz zostaliśmy wyekwipowani w mundury ćwiczebne niebieskiego koloru oraz w plecaki, koce, menażki i "berthiery" z długim, cienkim bagnetem, plątającym się ciągle koło nóg. Na drugi dzień dowódca plutonu, ppor. Koprowski, wraz z zastępcą dowódcy plutonu, wygłosił długie przemówienie o znaczeniu i roli wojska polskiego na ziemi francuskiej. Dni, tygodnie i miesiące przechodzą na ćwiczeniach uczących zachowania się w polu walki. Z końcem kwietnia wyjazd – na-

stępnie przysięga i defilada przed gen. Sikorskim, a z początkiem czerwca na front!

Podróż trwa dwa tygodnie. Dłuższy wymarsz przez Sarreguemines pod Dieuze – dzień 16 czerwca 1940.

15 - 16 -17 – walki, 1. batalion rozbity – straty...

17 czerwca

W godzinach popołudniowych, w czasie wycofywania, dostaję się do niewoli, z grupą czterech ludzi, przyłapany przez niemieckie auto pancerne. Zostaliśmy odstawieni na tyły.

Dalsze dni – marsz wraz z kolegami do Saarbrücken. Stacjonujemy w więzieniu miejscowym tydzień. Stamtąd transportem jesteśmy odsyłani. Nasza grupa do sta-

lugu X A – Schleswig. Odtąd rozpoczyna się czas naszej niewoli. Ze stalagu odsyłają nas na komenderówkę do Putlos. To majątek wojskowy i koszary broni pancernej. Tam spotykamy kolegów naszej narodowości, jeńców z 39 roku. Życie upływa przy pracy w majątku i w koszarach. Jedzenie bardzo marne, składające się z bochenka chleba na czterech ludzi na cały dzień, kawy morgan i odrobiny marmolady lub "wursty" niemieckiego oraz zupy wieczornej po pracy. Jednak jesteśmy w niezłych humorach i mamy całkowitą nadzieję, że przecież to wszystko kiedyś się skończy na naszą korzyść.

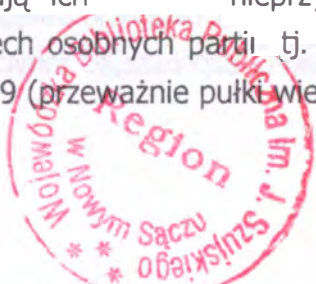
W roku 1941 wojna z ZSRR. W obozie witamy nowych kolegów – bolszewików, którzy są w opłakanym stanie – głodni i osłabieni, ranni. Niemcy traktują ich jak



Schleswig – grupa jeńców w stalagu XA

zwierzęta. Zresztą i oni sami swoim zachowaniem dają świadectwo bolszewickiej kultury i cywilizacji.

W roku 1942 otrzymujemy na odmianę Włochów – zdrajców faszystowskiego reżymu, a zarazem i kolaboracji hitlerowskiej. Przybyli podobno z Grecji. Niemcy traktują ich nieprzychylnie. Teraz nasza odkomenderówka składa się z trzech osobnych partii, tj. baraku naszego, w którym znajdują się jeńcy polscy z 1939 (przeważnie pułki wielkopolskie), kilkunastu tzw. "legionistów" z Francji, kil-



kunastu Polaków internowanych poprzednio w Rumunii, grupy Belgów, Serbów i Francuzów (których później przeniesiono gdzie indziej), drugiego baraku – Rosjan i trzeciego – Włochów. Opieka ze strony warty wraz z "Kommandoführerem" Kramerem na czele. Pracujemy w rozmaitych okolicznościach i miejscach. Jedni w majątku, gdzie są warsztaty i uprawne pola, drudzy w koszarach i na stacji przy węglu. Stosunki z miejscowymi Niemcami są niezłe. Zdążyli się przyzwyczaić i przekonać, że Polacy nie są jakimś dzikim narodem (według propagandy niemieckiej) i potrafią im dorównać pod każdym względem i mają swoje zasady cywilizacyjne i kulturalne. Tak przechodzi dzień za dniem w oczekiwaniu nowości



Zespół wykonawców przedstawienia jasełkowego na tle dekoracji wykonanych przez autora – styczeń 1943 r.

i dowiadywaniu się (z gazet i radia) o coraz nowszych przedsięwzięciach w polityce i walce ze wspólnym wrogiem.

Od 1942 roku otrzymujemy pomoc z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w postaci paczek żywnościowych i rzadziej – odzieży. Zresztą umundurowani jesteśmy dostatecznie (zachowując ciągle swój fason mundurów polskich), dzięki warsztatowi krawieckiemu i szewskiemu, który mieści się w naszej odkomenderówce. Apele ranne i wieczorne kończą nasze dni pracy niewolniczej. Po pracy, szczególnie w niedziele i święta, staramy się rozerwać grą w orkiestrze, w której gram jako mandolinista. Składa się ona z akordeonu, skrzypiec (kol. **Mańkowskiego**), trąbki (jednego z Belgów), gitary i mandoliny. W przeciągu dwóch lat okupacji, święta Bożego Narodzenia urządzaliśmy w obozie wraz z Belgami, zapraszając innych do

współpracy w jasełkach. W roku następnym, przy pomocy kol. **Wasilewskiego** (referent prasowy m. Krakowa i redaktora "Czasu"), wystawiliśmy sztukę pt. *Pan Twardowski*. Z pomocą kolegów, szczególnie **Nowaka, Autona, Mańkowskiego, Murawskiego** i mojej, skompletowaliśmy dość udane stroje i dekoracje. Oczywiście wszystkie służące jednorazowo, bo z papieru, kartonu i bibuły. Od czasu do czasu, w niedziele, chodziliśmy do sali teatralnej w pobliskim miasteczku – Oldenburgu. Obecnie pracuję jako krawiec przy reparacji bielizny i odzieży obozowej.

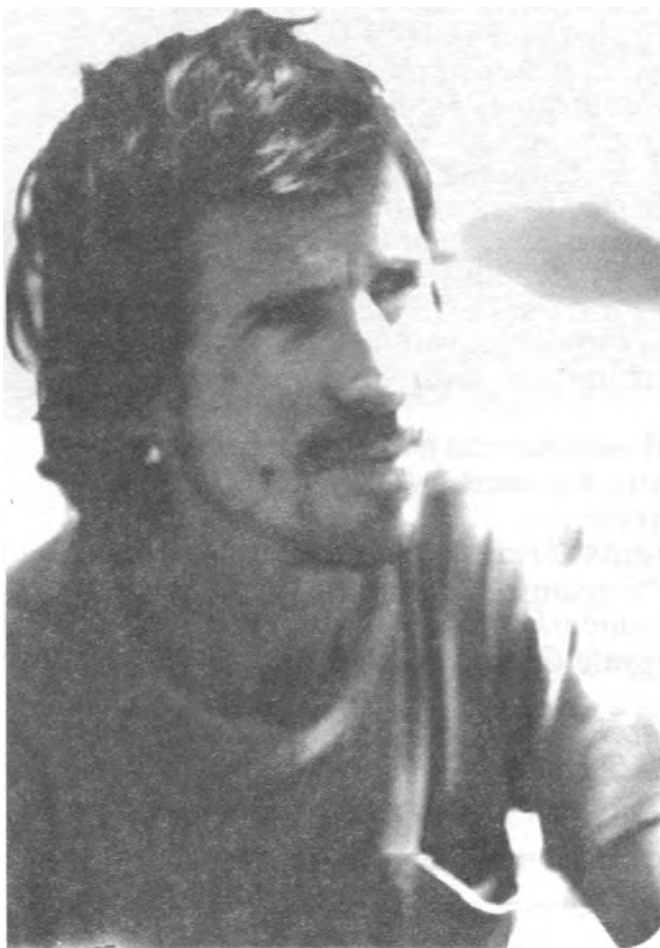
W tym miejscu pamiętnik się urywa: jest rok 1943, do końca wojny pozostały jeszcze dwa długie lata, które autor pamiętnika spędził w Stalagu X A. Obóz został wyzwolony przez jednostki brytyjskie 3 maja 1945 roku. Po wyzwoleniu, stryj wstąpił 16 listopada 1945 do Polskich Sił Zbrojnych i został skierowany do Lippstadt (Westfalia). Tam wstąpił do ZHP w Niemczech – kręgu starszoharcerskiego czarnej "13" im. Wł. Sikorskiego. Po przeniesieniu do Polskiego Obozu Wojskowego w Borghorst, został kronikarzem kręgu 7. Hufca Harcerskiego Chorągwi Nadreńskiej "Warta". Awansowany do stopnia kaprała w 1946, zdemobilizowany 3 czerwca 1947, ukończył w międzyczasie (31 lipca 1947) Polskie Gimnazjum Ogólnokształcące w Borghorst, stamtąd powrócił do Obozu Wojskowego w Lippstadt, gdzie przebywał do lutego 1948. Stamtąd, po załatwieniu wszelkich niezbędnych formalności, wyjechał do Brukseli i w czerwcu tegoż roku wstąpił do Academie Royale Des Beaux-Arts Et Ecole Des Arts Decoratifs (Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych), gdzie w 1950 ukończył wydział rysunku klasycznego. W roku 1952 wyjechał do Kanady i po osiedleniu się w Montrealu, pracował w firmie wystawienniczej do roku 1971, kiedy to powrócił na stałe do Polski. W latach 1971-1987 pracował w dziale dekoratorni sądeckich ZNTK. Własnej rodziny nie założył. Zmarł w 1990 r. w Nowym Sączu.

Za udział w wojnie otrzymał odznaczenia francuskie i polskie:

- *"Croix des Combattants Volontaires" (nr 41637), (Krzyż Kombatantów Ochotników),*
- *"Medaille Commemorative Francaise de la Guerre 1939-1945" z baretkami "Engange Volontaire" i "France", (Medal Pamiątkowy Francuski za wojnę) (nr 12604 D),*
- *Medal "Za udział w Wojnie Obronnej 1939" (nr 42-89-112 MW),*
- *"Krzyż Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie" (nr 18-90-118 PSZ).*

Leszek Migrała

W GÓRACH NAJWYŻSZYCH – ROZMOWA Z HIMALAISTĄ WALKIEM FIUTEM



Walenty Fiut

Walenty Fiut urodził się w Podegrodziu 10 II 1947 r. Liceum Ogólnokształcące ukończył w Krynicy. W latach 1976-1982 studiował na Wydziale Historii Sztuki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w tym czasie był także członkiem Zarządu Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Lublinie. Członek GOPR w Grupie Krynickiej. Brał udział w wielu akcjach poszukiwawczych w Tatrach. Obecnie zrzeszony w Kole Przewodników przy PTTK w Nowym Sączu. W latach 1969 – 1987 zaangażowany w aktywną działalność taternicką, alpinistyczną, himalajską i speleologiczną. Do Klubu Wysokogórskiego w Zakopanem przyjęty w 1970 r. Od 1974 r. związany z Alpinistycznym Klubem Eksploracyjnym w Sopocie. W 1982 r. współzałożyciel i członek Klubu Wysokogórskiego w Nowym Sączu. Instruktor taternictwa (prowadzenie szkoleń teoretycznych i praktycznych w skałkach, a przede wszystkim w Tatrach). Żonaty, jedno dziecko. Od 1992 r. dyrektor Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego w Grybowie. Mieszka w Nowym Sączu.

— *Jest Pan człowiekiem, który dużą część swego życia związał z górami. Kiedy rozpoczęła się przygoda ze wspinaczką sądeczanina, który na trwałe zapisał się w historii polskich wypraw wysokogórskich?*

— Pierwsze moje spotkanie ze wspinaczką górską miało miejsce w 1969 roku. Każdy, kto wówczas zamierzał uprawiać ten rodzaj wyczynu, wyjeżdżał w Tatry. Tak było i ze mną, z tą jednak różnicą, że nie przechodziłem, jak wielu innych, kursu teoretycznego w klubie, a następnie kursu praktycznego w skałkach i w Tatrach, lecz za namową kolegi zdecydowałem się od razu na wyprawę wspinaczkową w nasze najwyższe góry.

Poczyniłem bardzo szybkie i nieskomplikowane przygotowania. Pamiętam, wziąłem ze sobą dostępny mi sprzęt, między innymi zwykły młotek zupełnie nie dostosowany do wspinaczki wysokogórskiej, i tak wyekwipowany zjawiłem się w Morskim Oku na Taborisku, czyli kempingu przeznaczonym dla osób wspinających się. Następnego dnia wczesnym rankiem wybraliśmy się na podbój Mnicha. Nie mając żadnej praktyki taternickiej, dysponując jedynie wiedzą teoretyczną, "wbiliśmy się", używając specjalistycznego języka, w kant ściany, dość ostry i bardzo trudny. Co gorsza, ponieważ był to czerwiec, zdarzył się świeży opad śniegu, który pogłębił trudności przekraczające nasze możliwości. Dopiero później, czytając przewodnik Witolda Paryskiego, dowiedziałem się, że była to droga szóstkowa, czyli o najwyższej klasie trudności z elementami sztucznych ułatwień. Podczas tej pamiętnej wspinaczki nie poddaliśmy się całkowicie. Udało nam się wtedy zboczyć i dokonać przejścia drogą klasyczną - kantem klasycznym Mnicha. Na drugi dzień, na propozycję mojego współtowarzysza - Gienka Kwiecińskiego, raz jeszcze ponowiliśmy próbę pierwotnego przejścia. Tym razem lepiej wyposażeni - w sprzęt pożyczony od Wojtka Jedlińskiego, znanego już wówczas alpinisty - zrealizowaliśmy w pełni nasze zamierzenie.

W dalszych dniach i tygodniach były następne drogi, również w skali 5-6. Mój kolega nie wybierał innych, a ja dotrzymywałem mu kroku na tyle skutecznie, że już trzeciego dnia zacząłem nawet prowadzić. W ten właśnie sposób spędziliśmy większą część lata w Tatrach. Przeszliśmy różne ściany skalne w rejonie Morskiego Oka, w Dolinie Pięciu Stawów, na Hali Gąsienicowej, dwa tygodnie przebywaliśmy też w słowackiej części Tatr. W sumie przebyliśmy około 200 godzin wspinaczkowych.

Takie było moje pierwsze wyczynowe zetknięcie się z górami. Podobnie spędzałem czas w następnych latach - 1970-72. Wspinanie zimowe zapoczątkowałem w sezonie 1971/72. Podobnie jak w przypadku wspinaczki letniej, rozpocząłem od razu od trudnych przejść taternickich, do których zaliczam między

innymi: prawy filar Rumanowego Szczytu z Doliny Kaczej (przebyty na początku lutego w trzosobowym zespole), północną ścianę Mięguszwieckiego Szczytu (drogami klasyczną i diretissima), Granaty (Żlebem Drega), Zamarłą Turnię.

W tym czasie zapisałem się do Klubu Wysokogórskiego w Zakopanem. Egzamin zdałem eksternistycznie, stając się jego pełnoprawnym członkiem. I wtedy właśnie - jesienią we Wszystkich Świętych - Rysiek Szafirski, ówczesny prezes Klubu zakopiańskiego, zaproponował mi udział w wyprawie w Andy Peruwiańskie. Nie zastanawiałem się ani przez chwilę, natychmiast potwierdziłem moją gotowość wyjazdu. Celem wyprawy była wspinaczka w najwyższych partiach Andów, takich jak: Cordillera Blanca, Cordillera Huaytapallana i wiele innych. Poza tym w czasie tego wyjazdu wspinaliśmy się również w jaskiniach. Przeszliśmy wówczas najgłębszą jaskinię peruwiańską i całej Ameryki Południowej - Racas Marca, o głębokości 370 m. Było to drugie przejście całego systemu w ciągu 19 godzin w towarzystwie Piotra Malinowskiego, Wacka Otręby, Krzysztofa Szafrńskiego oraz Ali i Ryśka Szafirskich.

- *Wyprawa w Andy Peruwiańskie zamknęła pierwszy etap Pańskiej przygody wspinaczkowej w wysokich górach. Czy odnotował Pan wówczas jakieś przeżycia ekstremalne, które szczególnie silnie utkwily w pamięci?*
- Oczywiście, że tak. Niejednokrotnie znajdowałem się w sytuacji, w której wydawało się, że jakiś fragment ściany jest nie do przejścia, nie do pokonania, niemniej jednak każda powstająca trudność jeszcze bardziej mnie mobilizowała i wyzwalała nowe możliwości. Sam nieraz dziwiłem się, że w człowieku jest tak wiele niewiadomych i tak wiele sił, których nie uświadamiamy sobie na co dzień.
- *Która ściana, które z przejść w Andach było dla Pana najtrudniejsze?*
- Trudno jednoznacznie powiedzieć, ale na pewno nie przesadzę jeżeli do najtrudniejszych zaliczę próbę przejścia wschodnią granią na Nevado Huanday Sur (6100 m.). Huanday Sur, znajdujący się nad doliną Yanganuco, należał w tym czasie do najtrudniejszych szczytów w Cordillera Blanca. Wschodnia grań, bardzo długa grań, prawie nie miała przejścia. Chciałem właśnie tą granią, liczącą się w świecie alpinistycznym, zdobyć Huanday Sur. Wybrałem się na nią z Wackiem Otrębą, który także był uczestnikiem naszej wyprawy. Dolne partie pokonaliśmy dość szybko, ale potem napotkaliśmy charakterystyczny dla całych Andów śnieg - cukier. W tym śniegu nie można było zakładać stanowisk asekuracyjnych. Balansowaliśmy na ostrej grani niczym artyści cyrkowi. Ostatecznie

jednak trudności przerosły nas, młodych adeptów alpinizmu. Ze łzami w oczach wycofaliśmy się z tej pięknej grani. Chcę wspomnieć jeszcze o drugiej trudnej górze andyjskiej - Alpamayo. W literaturze andynistycznej szczyt ten uważany jest za najpiękniejszy. W Andach Peruwiańskich, porównywanych do procesji białych mnichów, Alpamayo wyróżnia się swoją wspaniałą, charakterystyczną sylwetką. Mimo że na grani północnej też był "cukier", niebezpieczne nawisy i duże stromizny, 17 czerwca 1973 roku stanąłem na tej górze wraz z Ryśkiem Szafirskim i Piotrkim Malinowskim. Jeszcze w trakcie tej samej wyprawy udało nam się dokonać pierwszego polskiego wejścia na północny wierzchołek najwyższej góry Peru - Nevado Huascarán (6655m.).

Cała wyprawa peruwiańska była dla mnie wielką przygodą trwającą siedem miesięcy. Rzecz jasna, nie latało się wtedy samolotami. Mało kto w Polsce miał wówczas pieniądze na przeloty transoceaniczne, a zatem popłynęliśmy frachtowcem, statkiem Polskich Linii Oceanicznych. W czasie podróży zatrzymywał się on w różnych portach, wyładowując jakiś towar, a załadowując inny. Oczywiście, my alpiniści korzystaliśmy z tego, ponieważ mogliśmy schodzić na ląd i zwiedzać interesujące miejsca. W sumie z Gdyni do Limy płynęliśmy 45 dni. Spotkanie z Andami było wielką przygodą wspinaczkową, dla mnie tym większą, że nagle z Tatr, z wysokości dwóch tysięcy metrów, przeniosłem się na poziom sześciu, siedmiu tysięcy, zdobywając najwyższe szczyty.

- *Czym był podyktowany wybór Pańskiej osoby przez Ryszarda Szafirskiego?*
- Moje przejścia w ciągu trzech, czterech sezonów tatrzańskich zostały zauważone, między innymi przez Ryśka Szafirskiego, dzięki czemu zostałem włączony dość szybko do grona wybranych do wyjazdu w tak fantastyczne i różnorodne góry, o bardzo trudnych nieraz ścianach, o niebezpiecznych konsystencjach śniegu. Najczęściej spotykany śnieg w Andach, to śnieg o konsystencji cukru, a w takim śniegu nie można się dobrze ubezpieczyć. Jest to jedno z większych niebezpieczeństw, które przyczynia się do wielu śmiertelnych wypadków. Wtedy, obok Szafirskiego i mnie, z Zakopanego w wyprawie uczestniczył jeszcze Piotrek Malinowski, a poza tym grupa osób z Gdańska.
- *Czy wyprawę w Andy należy uznać za przełomową w Pańskiej karierze wspinaczkowej?*
- Tak. Należy jednak dodać, że w Andach miałem możliwość być raz jeszcze na przełomie 1975/76 roku, tym razem w Wenezueli i w Kolumbii i to zarówno w górach, jak i jaskiniach. Wkrótce po powrocie z pierwszego wyjazdu w Andy, pojechałem na trudną wyprawę w Hindukusz afgański. Wtedy istniały takie

możliwości. Następnie zostałem włączony przez Komisję Sportową Klubu Wysokogórskiego do tzw. wyjazdów centralnych, dzięki czemu wyjechałem po raz pierwszy w Kaukaz z zespołem 10 osób na alpinadę. Potem było zimowe wspinanie się w Tatrach i jeszcze jedna wyprawa w Kaukaz, w ramach wyjazdów centralnych z PZA. Oprócz tego wyjeżdżałem w Pamir i Alpy. W sumie w dziesięcioleciu pomiędzy 1969 a 1979 rokiem wiele się działo, co jest zrozumiałe zresztą, zważywszy, że od 1974 systematycznie wyjeżdżałem w góry poza granice kraju dwa, trzy razy do roku. Tak wygląda rejestr moich wypraw do 1979 roku, kiedy to po raz pierwszy wyjechałem w Himalaje.

— *Himalaje to już nowy etap w biografii każdego wspinacza. Proszę powiedzieć co było Pańskim największym osiągnięciem wysokogórskim do czasu wyjazdu w najwyższe góry świata?*

— Myślę, że bardzo trudne zimowe przejście środkiem, drogą klasyczną, północnej ściany Eigeru w Alpach Berneńskich na początku marca 1978 roku. Było to pierwsze polskie zimowe przejście tej drogi. Dokonałem tego wspólnie z Janem Wolfem, Januszem Skorkiem i Andrzejem Czokiem. Było to chyba w ogóle trzecie przejście zimowe. Północna ściana Eigeru zaliczana jest przecież do najładniejszych, ale i najtrudniejszych ścian alpejskich. Podchodziłem pod tę ścianę z wielkim strachem, wiedziałem z literatury, że pochłonęła już wiele istnień ludzkich. Przejście tej drogi zajęło nam trzy dni. Przez pierwsze dwa dopisała nam pogoda, ale ostatnie partie ściany pokonywaliśmy już przy padającym śniegu. Po nocy spędzonej tuż pod szczytem z trudem udało nam się zejść flanką południowo-wschodnią. Spędzone noce na tej ścianie pozostaną mi w pamięci do końca życia. Na bardzo stromych półeczkach skalnych ledwie udało nam się usiąść. Nogi zwisały nad przepaścią. W oddali majaczyły światła Grindenwaldu, w górze rozbłyskiwało gwiazdziste niebo, a my przyklejeni, a raczej przywiązani linami do skały, szczękając zębami, oczekiwaliśmy brzasku poranka. Mróz i wiatr wysysały z nas siły i ciepło, ale nie poddawaliśmy się. Chęć pokonania tej ściany była ogromna.

Oprócz tego do ważniejszych osiągnięć zaliczyłbym Aiguille Du Dru w masywie Mont Blanc, Grandes Jorasses tamże - przejście północno-wschodniej ściany zimą. W Pamirze z kolei, obok wejść na najwyższe szczyty: Pik Kommunizma, Pik Lenina, dokonywałem przejść nowymi, czy też mniej znanymi drogami, na niższe wierzchołki, ale bardzo trudne technicznie. Również w Hindukuszu dokonałem pierwszych przejść wspaniałych dróg z Krzyśkiem Żurkiem, Andrzejem Osiką, Ryśkiem Szafirskim.

Bardzo udany i ciekawy dla mnie sezon miał miejsce w 1974 roku. Po miesięcz-

nym pobycie w Kaukazie, po bardzo trudnych wspinaczkach, pod koniec sierpnia pojechałem do północnej Hiszpanii z kolejną grupą, której zadaniem było zejść poniżej 850 metrów w jaskini Garma Ciega Sumidero de Cellaqua.

Kierownikiem wyprawy był Chrystian Parma - znany już wówczas speleolog, który dokooptował mnie do składu swojego zespołu. Byłem wtedy bardzo ciekaw nowych doświadczeń, zarówno estetycznych jak i sportowych, w mniej znanej mi sytuacji. Jak się okazało, zdarzały się tam bardzo trudne momenty, w których ponosiliśmy duże ryzyko. Udało nam się wtedy "pogłębić" jaskinię, zejść do poziomu 970 metrów. Warto nadmienić, że następne wyprawy do tej jaskini próbowały zejść jeszcze niżej, jednak nie udało im się tego dokonać. Zawalisko, które się tam znajduje, po prostu nie pozwala przedostać się w głębsze partie. Obok mnie eksploracji wspomnianego niżej położonego miejsca dokonali: Wacek Otręba z Gdańska i Olek Gałązka z Poznania.

- *Wróćmy jeszcze do Pana wspinaczki w Hindukuszu. Panuje zgodna opinia, że góry te umożliwiły Polakom odnoszenie wielkich sukcesów w Himalajach w latach osiemdziesiątych. Rzecz w tym, że doświadczenia tam zdobyte znakomicie posłużyły w wytyczaniu najambitniejszych celów himalajskich, łącznie ze zdobywaniem szczytów w warunkach zimowych.*
- Rzeczywiście. Hindukusz to bardzo wysokie góry - siedmiotysięczne - z bardzo stromymi ścianami, które w połowie lat siedemdziesiątych szczególnie upodobali sobie Polacy. Dlaczego? Ponieważ były zezwolenia, można tam było wyjeżdżać i stosunkowo małym kosztem wspinać się. To nam odpowiadało i w rezultacie to właśnie Polacy zrobili tam najwięcej wejść szczytowych i ścianowych. Jeśli dobrze pamiętam, w samym 1976 roku w Hindukuszu działało 13 wypraw z naszego kraju. Oczywiście, możliwe to było do czasu. Jak wiadomo, sytuacja polityczna, szczególnie w Afganistanie, uniemożliwiła z końcem lat siedemdziesiątych wyjazdy w Hindukusz. Niemniej była to wyjątkowo dobra szkoła, a każdy z nas mógł się sprawdzić na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Oprócz Hindukuszu był jeszcze Pamir, ale w Pamirze szczytów siedmiotysięcznych nie ma wiele, a przy tym często grupy z całego świata przyjeżdżające tam robiły wręcz tłok. Osobiście w Hindukuszu byłem jeden raz, właśnie w 1976 roku, po drugim pobycie w Ameryce Południowej. Celem wyprawy był wtedy Kohe Kiśnichan (6768 m.). Na ścianie północno-zachodniej zrobiłem z Ryśkiem Szafirskim i Krzyśkiem Żurkiem pierwsze przejście. Natomiast na Kohe Szachaur (7116 m.) z sukcesem zrobiliśmy filar z Andrzejem Osiką i Krzyśkiem Żurkiem; było to pierwsze polskie przejście. Następnie dołączyłem do Waldka Olecha z Warszawy, by wejść na dziewiczy wówczas wierzchołek pakistański. Zrezy-

gnowałem wtedy z wyjścia na Noshaq, który jest nieco wyższy, ale oczywiście zdobywany był już wcześniej. Całe to zdarzenie było zresztą dość przypadkowe. Początkowo bowiem szedłem z Krzyśkiem Żurkiem z zamiarem wejścia właśnie na Noshaq, najwyższy szczyt Hindukuszu afgańskiego, drogą stosunkowo łatwą, jako że szczyt ten od strony Afganistanu nie jest trudny do zdobycia. Gdzieś na drodze podejścia, na wysokości około sześciu i pół tysiąca metrów, spotkałem schodzącego w dół wspomnianego Waldka, który działał w tym rejonie ze swoją wyprawą Polskiego Klubu Górskiego i który zaproponował mi wejście na nie zdobyty dotąd jeszcze przez Polaków siedmiotysięczny wierzchołek. Zmieniłem plany i dzięki temu następnego dnia osiągnąłem z Waldkiem - Darban Zom (7219 m.).

- *Duża wysokość wpływa w określony sposób na organizm człowieka. Jak wspinać się w takich warunkach?*
- Zawsze kiedy znajdowałem się na dużych wysokościach poruszanie się w początkowym okresie było trudne, tym bardziej, że było się obciążonym sprzętem wspinaczkowym i biwakowym. Bywało niekiedy, że należało wyjść z bazy na kilka dni i wówczas dźwigało się plecak o ciężarze około 20 kilogramów z linami, hakami, śrubami lodowymi, karabinkami itd. Jednak w miarę upływu czasu kolejne wyjścia były już łatwiejsze, ponieważ organizm przystosowywał się do zmniejszonej ilości tlenu, a i ogólne samopoczucie ulegało poprawie. Niemniej każde wyjście było dużym wysiłkiem fizycznym i powodowało konieczność dwu, trzydniowego odpoczynku w bazie.

Trzeba też zaznaczyć, że wcześniejsze moje pobyty, choćby w Kaukazie i Pamiarze w naturalny sposób stopniowo przygotowywały organizm do przebywania na największych wysokościach. Dodam, że miałem za sobą jeszcze pobyt w Indiach, w Kaszmirze. Dokładnie było to latem 1978 roku, kiedy to kierowałem wyprawą studencką "na zwariowanych papierach". Pojechaliśmy wtedy, najtańszym sposobem, pociągiem przez Moskwę do Teheranu, a dalej z naszym bagażem, autobusem lub też wynajętymi ciężarówkami, przez Afganistan i Pakistan do Indii. Podróż więc mieliśmy ciężką, poza tym odbywali ją w zaognionej już sytuacji politycznej, czego widowym dowodem były stojące czołgi na rogatek wielu miast Afganistanu. Z powrotem było jeszcze gorzej, najgroźniej w Iranie, a przede wszystkim w samym Teheranie. Tam już rozwijała się rewolucja islamska. Widać było interweniujące wojska, które armatkami wodnymi rozpędzały zbierające się tu i ówdzie gromady ludzi.

Ówczesna, październikowa podróż była dla nas pamiętna i z tego powodu, że dotarli do nas dwie radosne wieści. Pierwsza, że Karol Wojtyła został wybrany

papieżem, a druga, że Wanda Rutkiewicz, jako pierwsza kobieta na świecie, stanęła na szczycie Mount Everestu.

- *Pańska biografia wspinaczkowa jest bardzo bogata i różnorodna, niewątpliwie jednak jej najważniejszym etapem był okres wspinania się w Himalajach.*
- Z całą pewnością. Góry, góry wysokie, były w tamtym czasie dla mnie najważniejsze. Zdobywanie pieniędzy było tylko dodatkowym zajęciem, w tym tylko celu, aby można było wyjeżdżać.
- *W Himalajach pierwsze było Dhaulagiri (8150 m.). Jednym z dwóch celów wyprawy było pionierskie w dziejach himalaizmu przejście ściany wschodniej. Zadanie to miał Pan wykonać wspólnie z Wojciechem Kurtyką.*
- Wojtek Kurtyka, który już wcześniej był na wyprawie himalajskiej, zaproponował mi, ażeby w małym zespole, co wówczas było czymś niespotykanym, dokonać przejścia dziewiczej ściany wschodniej na Dhaulagiri. Pomimo dużych trudności organizacyjnych, udało nam się zorganizować wyjazd, który odbył się u boku dużej wyprawy gdańskiej, mającej działać również w rejonie Dhaulagiri, tyle że od strony północnej. W trakcie transportu naszego bagażu nie obyło się bez nieprzewidzianych zdarzeń. Wyposażenie wyprawy wysłane zostało statkiem handlowym do Bombaju. Statek ten wraz ze wszystkimi naszymi rzeczami spłonął na redzie w porcie Karaczi. Na szczęście nasz bagaż był ubezpieczony, a poza tym wielu ludzi przyszło nam z pomocą. Dzięki temu udało się raz jeszcze w bardzo krótkim czasie skompletować wyposażenie, zakupić żywność i szczęśliwie, tym razem drogą powietrzną, przetransportować ekwipunek do Indii i dalej do Nepalu.

W czasie tej wyprawy Wojtek i ja byliśmy bardzo dobrze zaaklimatyzowani i przygotowani fizycznie. Pierwszą aklimatyzację przeszliśmy na wysokości nieco poniżej 8 tysięcy metrów, a zatem stosunkowo niedaleko od szczytu. Wróciliśmy do bazy, by rychło w kolejnym wyjściu doprowadzić do założenia obozu wysuniętego pod ścianą. "Weszliśmy" w ścianę - nastąpiło gwałtowne załamanie pogody. Wycofywaliśmy się w kopnym i niebezpiecznym śniegu. Wróciliśmy do bazy i przez trzy tygodnie czekaliśmy na poprawę warunków atmosferycznych. Kiedy ponownie podeszliśmy do wysuniętego obozu, był on całkowicie zniszczony przez spadające niemal bez przerwy lawiny, a warunki na ścianie były tak ciężkie, że nie było szans na zrobienie przejścia. Pomimo wszystko nie rezygnowaliśmy. Dołączyliśmy do dużego zespołu gdańskiego, przebywając z nim wspólnie na wysokości 7800 m. I tym razem jednak nie mieliśmy szczęścia. Warunki atmosferyczne pogorszyły się po raz kolejny, w wyniku czego na-

stąpiło nasze ponowne wycofywanie się ze ściany. Splot niesprzyjających okoliczności sprawił, że większość zespołu zeszła w dół, jedynie nasza dwójka - Wojtek i ja - licząc jeszcze na poprawę pogody, chciała wejść na szczyt od strony północnej, po nowej drodze - tzw. gruszcze. Nie udało się, wyprawa zakończyła się niepowodzeniem, w tym sensie, że nie dokonała wejścia, nie zdobyła szczytu. Niemniej dla mnie osobiście były to kolejne wielkie doświadczenia, zarówno z wysokością, jak i z warunkami na ścianie.

- *Na przełomie 1979/1980 roku wziął Pan udział w jednym z największych przedsięwzięć polskiego himalaizmu, w pierwszej zimowej wyprawie na Mount Everest. Była to wyprawa bezprecedensowa. Nikt wcześniej nie próbował zdobywać Everestu zimą. W jaki sposób znalazł się Pan w tym elitarnym zespole?*
- Po powrocie do domu z wyprawy na Dhaulagiri 12 listopada, bodajże dwa dni później, zadzwonił do mnie Andrzej Zawada z propozycją udziału w narodowej wyprawie na Everest zimą, przy czym odlot z kraju nastąpić miał na początku grudnia. Nie dość, że termin ten był bardzo krótki, to jeszcze na dzień 24 listopada miałem już wcześniej ustaloną datę ślubu. Mimo szczupłego czasu ślub odbył się w terminie, planowo też, 8 grudnia, odleciałem w składzie wyprawy Andrzeja Zawady do Nepalu, po najwyższą górę świata. Taki był mój wstęp do eskapady, jakiej nie było w dziejach himalaizmu.

Polacy znali i cały świat alpinistyczny znał warunki w Himalajach, jakie panują w okresie przedmonsunowym i pomonsunowym, bo tylko w tym czasie wspinało się. Na zdobywanie tamtejszych gór w warunkach zimowych nikt się dotychczas nie zdobył. Rzucone zostało zatem nowe wyzwanie. Należy wejść i zdobyć szczyt, w tym okresie i w tych warunkach, w jakich nikt wcześniej nie próbował. Zwróćmy uwagę, że wiązała się z tym konieczność pokonania bariery psychicznej związanej z opowieściami Szerpów o silnych wiatrach, o wielkich mrozach, które paraliżowały i odbierały ducha walki.

Pozwolenie rządu nepalskiego na przeprowadzenie wyprawy sugerowało, aby akcję zdobywczą zakończyć 15 lutego, a pozostałe dwa tygodnie przeznaczyć na likwidowanie obozów. Wytworzona została silna presja uciekającego czasu, tym dokuczliwsza, że już na samym początku wyprawy pojawiły się trudności z założeniem I obozu na wysokości nieco powyżej 6 tysięcy metrów, a następnie II, pod południową ścianą Everestu.

Już samo pozwolenie rządu nepalskiego nadeszło późno. Wynikało to stąd, że trudno było wyobrazić sobie władzom nepalskim zimowy sezon w Himalajach, obawiano się także reakcji miejscowej ludności, bano się o bezpieczeństwo własnych ludzi - tragarzy. Trzeba wziąć pod uwagę, że każda wyprawa ma od-

delegowanego oficera łącznikowego przebywającego z zespołem przez cały czas jego działania. Chodzi o to, aby wyprawa realizowała właściwy sobie cel, nie zajmowała się inną działalnością.

W Wigilię Bożego Narodzenia dotarliśmy do słynnej miejscowości Namcze Bazar. Znaleźliśmy jakieś małe drzewko iglaste i spożyliśmy w pięcioosobowym gronie [Walenty Fiut, Andrzej Heinrich, Kazimierz Olech, Marian Piekutowski, Ryszard Szafirski - przyp. red.] kolację, taką oczywiście, jaką w tamtych warunkach mogliśmy przygotować. Tydzień później, na Sylwestra, dotarliśmy z naszym pierwszym ładunkiem do bazy. Jednak naszym największym zaskoczeniem, w czasie gdy podchodziliśmy do bazy z Namcze Bazar z wysokości około 3500 m., był niemal całkowity brak śniegu; niezmiernie nas to dziwiło, ponieważ zupełnie nie odpowiadało wcześniejszym wyobrażeniom.

Sporym problemem organizacyjnym wyprawy był transport bagażu, którego trzy tony przeniesione zostało na grzbietach jaków, nieocenionych zwierząt himalajskich i tybetańskich. W ciągu dnia warunki atmosferyczne były dość znośne, świeciło nawet ciepłe słońce, natomiast w nocy temperatury spadały na wysokości bazy do minus 25 stopni. Jako że wkrótce dotarli do nas koledzy i pozostała część wyprawy, zaczęliśmy zakładanie lin poręczowych na jednym z najtrudniejszych lodowców, który wypływa z Kotła Zachodniego, znajdujące się pomiędzy zachodnią ścianą Everestu, północno-zachodnią ścianą Lhotse i północną ścianą Nubse. Lodowiec spływając z wysokości 6 tysięcy metrów gwałtownie się załamuje, tworząc niezliczoną ilość kaskad, pęknięć, wielkich szczelin, wiszących bloków, łamiących się w trakcie przesuwania masy lodowej. Historia mówi, że wiele osób straciło życie przy próbach pokonywania lodowca, najczęściej wpadając w głębokie szczeliny. Warto nadmienić, że jest to jeden z najszybciej przesuwających się lodowców świata. Średnio w ciągu roku przesuwa się o około 100 m.

- 15 stycznia zespół zakopiański - Ryszard Gajewski, Maciej Pawlikowski i Krzysztof Żurek - założył obóz III na ścianie Lhotse na wysokości 7150 m.
- Obóz IV miał stanąć na Przełęczy Południowej (ok. 8000 m.), skąd zamierzano podjąć ataki szczytowe. O ile wiadomo, pojawiły się jednak poważne trudności pogodowe.
- W wyniku intensywnej i systematycznej pracy udało się nam założyć, tam gdzie to sobie zaplanowaliśmy, kolejny, wyżej położony obóz. Potem nastąpiła dłuższa przerwa w naszej działalności, ponieważ miało miejsce załamanie się pogody. W takich okolicznościach następuje nieuniknione pogorszenie samopoczucia, między innymi ze względu na skupienie się ludzi w niewielkich namiotach,

w trudnych warunkach. Na szczęście po pewnym czasie nadszedł słoneczny dzień, a silne wiatry, które dwukrotnie zniszczyły obozy II i III, osłabły. Umożliwiło to podjęcie na nowo naszej pracy, odbudowanie obozów z szansą, aby w kurczącym się bardzo czasie naszego zezwolenia na działalność w Himalajach, podjąć próbę wejścia na najwyższy wierzchołek świata.

— *11 lutego osiągnięta została Przełęcz Południowa. Dokonała tego czwórka: Leszek Cichy, Jan Holnicki-Szulc, Krzysztof Wielicki i Pan. Czy była wówczas szansa pójść dalej i zdobyć Everest?*

— Rzeczywiście, 11 lutego przypadło mi w udziale, wraz z zespołem, zadanie wejścia na Przełęcz Południową i podjęcie próby założenia tam obozu. Ta próba powiodła się. W dniu wyjścia wiał wprawdzie silny wiatr, ale w sumie pogoda była dobra. W trakcie wchodzenia na Przełęcz, w połowie etapu, wycofał się Jasiu Holnicki; Leszek Cichy doszedł do Przełęczy i zawrócił, natomiast ja z Krzyskiem Wielickim podjęliśmy zadanie rozbicia namiotu. Śniegu było niewiele. Byłem zaskoczony tym, że zamiast szerokiej śnieżnej przełęczy zastałem śmietnisko - mnóstwo porzuconych butli tlenowych, sprzętu, wszystkiego tego, co było wyniesione przez różne grupy atakujące Everest i porzucone przy zejściu niżej.

W nocy, którą musieliśmy spędzić na Przełęczy, walczyliśmy z mrozem i wiatrem. Chociaż mieliśmy na sobie dobre kurtki puchowe, marziliśmy. Ocenialiśmy, że temperatura spadła wówczas do około 40 stopni poniżej zera. Co gorsza, zmagając się z silnym wiatrem, musieliśmy nieustannie podtrzymywać i mocować maszt namiotu. Dopiero głęboko w nocy wpadliśmy na pomysł, aby spróbować pozbierać leżące dookoła butle i obciążyć nimi krawędzie namiotu. Wykonanie tego okazało się na tyle skuteczne, że wreszcie dało nam możliwość skorzystania z krótkiego wypoczynku i zdrzemnięcia. Rankiem jeszcze mocniej zakotwiczyliśmy namiot, ale też doszliśmy do wniosku, że nie mamy żadnych szans na wyjście w kierunku szczytu. Wiatr nadal dokuczał, zdmuchiwał płomień maszyny uniemożliwiając gotowanie, a my przecież od poprzedniego ranka nie mieliśmy w ustach nic ciepłego, żadnej ugotowanej strawy. W tej sytuacji - ponieważ obóz na Przełęczy Południowej został założony, pozostawione zostały dwie butle z pełnym zapasem tlenu - postanowiliśmy się wycofać. Krzysiek, który odmroził sobie palce stóp, został w obozie II, natomiast ja, czując się bardzo dobrze, zszedłem niżej, do bazy, ażeby lepiej wypocząć i ewentualnie przystąpić do następnego wyjścia.

Jakie decyzje podjął wówczas kierownik wyprawy, Andrzej Zawada?

- Sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że były przygotowane już trzy następne dwuosobowe zespoły, które miały kolejno wchodzić na Przełęcz, by stamtąd podejmować próby wejścia na szczyt. Wyszli na Przełęcz Andrzej Zawada i Rysiek Szafirski, niestety nie podjęli próby dalszego wspinania - wycofali się. Poszli Andrzej Heinrich i Szerpa Pasang Norbu - zaatakowali szczyt, ale i oni musieli ustąpić. Będąc w drodze, zrezygnowali jeszcze Holnicki i Gajewski. Okres naszego pozwolenia na bytność w Himalajach dramatycznie topniał z każdą nieudaną próbą. I wówczas, kiedy nie było już czasu na uzupełnienie zaopatrzenia na Przełęczy, poszli Krzysiek Wielicki i Leszek Cichy, który w międzyczasie przeszedł z obozu II do III i będąc stosunkowo blisko Przełęczy uzyskał szansę na wyjście. Jak powszechnie wiadomo, atak tej dwójki powiódł się. Zdobyła ona Everest zimą, co było wspnianym zwieńczeniem dzieła polskiej wyprawy.
 - *Gdyby jednak Wielicki i Cichy nie osiągnęli celu, czy uzyskałby Pan możliwość zdobycia szczytu?*
 - Byłem przewidziany w składzie następnego zespołu. Być może, że gdybym nie zszedł z Przełęczy Południowej do bazy, lecz pozostał w obozie II, to sytuacja wyglądałaby inaczej. W każdym bądź razie, Andrzej Zawada kiedy usłyszał, że nasi koledzy weszli i zeszli w następnych godzinach ze szczytu, był usatysfakcjonowany i zdecydował o przerwaniu przygotowań do kolejnych prób. Sukces został osiągnięty - wyjście zimowe dokonane.
 - *Wyprawa na Mount Everest nie zakończyła Pańskiej przygody wspinaczkowej w Himalajach. Wracał Pan w te góry uparcie aż do roku 1987.*
 - Tak. Po wyprawie na Mount Everest były kolejne wyjazdy, kolejne szczyty, nie tylko zresztą w Himalajach. Był Gharwal w Indiach, był Himalczuli w zachodnim Nepalu, na który niestety nie udało nam się wejść dziewiczą ścianą, podobnie zresztą jak na Baturę w Karakorum, gdzie na przeszkodzie stanęły warunki atmosferyczne. W 1984 roku z powodzeniem atakowałem ośmiotysięcznik Broad Peak w Pakistanie. Byłem wtedy w małym zespole z Krzyśkiem Wielickim, Ryśkiem Pawłowskim, Januszem Majerem, a obok nas działali Wojtek Kurtyka i Jurek Kukuczka, którzy dokonali wejścia na trzy wierzchołki Broad Peak poprzez grań od strony zachodniej ku wschodowi.
- W 1985 roku byłem z grupą śląską na pierwszym wyjeździe, którego celem była dziewicza południowa ściana Lhotse o wysokości trzech tysięcy metrów. Podjęliśmy tę próbę, ponieważ był to wówczas bardzo ambitny cel sportowy. Wykonaliśmy dużą pracę przy zakładaniu poszczególnych obozów i całych kilome-

trów lin poręczowych, które założyliśmy aż do wysokości 7800 m. Dotarliśmy do wysokości 8300 m., stosunkowo blisko szczytu, niestety, komplikacje topograficzne plus trudności skalne, na tej wysokości porównywalne ze wspinaczką w Tatrach, spowodowały, że musieliśmy się wycofać. Wtedy obok mnie w zespole szturmowym byli jeszcze: Krzysiek Wielicki, Artur Haizer. Drugą próbę ataku, w nieco inny sposób, podjęli Jurek Kukuczka i Rafał Hołda i też wycofali się na podobnej jak my wysokości. Schodząc do obozu, gdzieś na wysokości 8100 m., Rafał, który szedł za Jurkiem Kukuczką, spadł. W tamtych warunkach nie mieliśmy żadnych szans znalezienia ciała, mimo że pod ścianą próbowaliśmy lustrować teren przez lornetki.

- *Lhotse okazała się dramatyczną górą, z którą przyszło się Panu zmierzyć raz jeszcze w 1987 roku.*
- Dwa lata później pojechałem na Lhotse w trochę już innym składzie. W początkowym okresie działalności przytrafił się mojemu zespołowi wypadek, w takim miejscu, gdzie nie powinien, gdzie poprzednio żadnej lawiny nie było. Było to po założeniu obozu I, gdy zakładaliśmy obóz II. Przy kolejnym wyjściu o wcześniejszej porze, gdzieś około godziny 6.00, gdy podchodziliśmy do kuluaru, nagle rozległ się straszny huk, po którym błyskawicznie rozeszły się tumany pyłu śnieżnego. Pamiętam tylko, że zrobiłem ruch ręką, wczepiłem się czekanem do złodzonego śniegu, po czym poczułem ostre szarpnięcie i straciłem przytomność.

Było nas tam wtedy trzech. Oprócz mnie jeszcze Czesiek Jakiel - lekarz naszej wyprawy i tyrolczyk z północnych Włoch. Tyrolczyk miał sporo szczęścia - wpadł w szczelinę, czy raczej w znajdujące się w pobliżu obniżenie terenu, co najprawdopodobniej uratowało mu życie. Cześka i mnie zabrał boczny podmuch lawiny. Czesiek Jakiel złamał kręgosłup, zginął na miejscu. Ja, kiedy odzyskałem przytomność, zdałem sobie sprawę, że jestem bardzo potłuczony, jak się później okazało, miałem między innymi złamaną miednicę i zerwane wiązadła w kolanie.

Koleczy z obozu I - Andrzej Osika i Maciek Pawlikowski, przygotowujący się do wyjścia do obozu II, słyszeli ten huk, zresztą lawina słyszana była też w bazie, po drugiej stronie szerokiego lodowca. Pomoc przyszła z obydwu stron. Odnaleziono nas i wieczorem przeniesiono na czekanach do bazy. Po dwóch dniach w nieco niżej położony rejon zdołał dotrzeć helikopter, który przewiózł nas do szpitala w Katmandu, a następnie do Dheli. Po pewnym czasie, gdy to było już możliwe, przetransportowany zostałem do kraju i znalazłem się w klinice w Warszawie. Potem była operacja, długa rekonwalescencja i powolny powrót do zdrowia.

- *Czy miał Pan po wypadku jakąś szansę na powrót do czynnego życia alpinistycznego?*
- *Długo nie miałem ochoty rezygnować ze wspinaczki, nie chciałem pogodzić się z faktem mojej nieobecności w górach, ale względy zdrowotne, głównie stan kolana, które nie jest sprawne, nie może być obciążone, sprawiły, że nie mogłem w sposób czynny powrócić do alpinizmu.*
- *Niewątpliwie pozostaje Panu jednak satysfakcja, że w okresie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - złotym okresie polskiego himalaizmu - należał Pan do czołówki naszych wspinaczy wysokogórskich. Życząc sukcesów - dziękuję za rozmowę.*

Marcin Krakowski

POCZĄTEK I ROZWOJ RUCHU BAPTYSTYCZNEGO NA SĄDECCZYZNIE I W NAJBLIŻSZEJ OKOLICY

Tytułem wstępu

Kościół Chrześcijan Baptystów to wyznanie protestanckie, które powstało w pierwszej połowie XVII wieku w Anglii z ruchu purytańskiego. Pierwszą gminę baptystyczną założył w Anglii Jan Smyth w 1606 roku. Na skutek prześladowań baptyści wyemigrowali do Holandii, a następnie do USA, gdzie dziś stanowią najliczniejsze wyznanie protestanckie. Baptyści praktykują chrzest przez zanurzenie wyłącznie dorosłych o ugruntowanej wierze i uznają Biblię za niepodważalny, jedyny autorytet.

Chrześcijanie baptyści podkreślają rolę osobistego, indywidualnego przeżycia wiary jako warunku zbawienia. Obecnie na świecie żyje około 50 milionów baptystów, z czego około 26 milionów w Stanach Zjednoczonych.. W Polsce liczbę członków tego Kościoła szacuje się na 6-7 tysięcy.

Krynica

Historia baptystów na Sądecczyźnie zaczyna się w roku 1925, kiedy to do Krynicy przybył Piotr Dranowski. Wokół Dranowskiego w perle polskich uzdrowisk zaczęła się organizować grupa ludzi dzielająca jego przekonania religijne. W roku 1926 – jak zanotowały pierwsze kroniki – w Krynicy było 13 ochrzczonych bapty-

stów, a 19 kolejnych osób sklasyfikowanych zostało jako sympatycy, przychodzący aby słuchać i wcielać w życie Słowo Boże. Zaznaczyć należy, iż krynicki zbór był wówczas uznawany przez Centralę Baptystyczną, która w tamtych latach znajdowała się w Berlinie.

W wyniku działalności Dranowskiego do baptystów niebawem przyłączyli się Julian i Władysław Błażowscy. Byli oni pionierami w krzewieniu baptystycznej prawdy o Zbawicielu (J8,32). W miarę upływu czasu do rodziny chrześcijan w Krynicy dołączyły kolejne osoby: Ząbka, Gardoń, Fedorowicz.

Stare powiedzenie mówi: *"Każde dziecko rodzi się w bólach"*. Słowa te w pełni można odnieść do historii baptystów na Sądecczyźnie i w najbliższej okolicy. Od samego początku ich działalności miały bowiem miejsce doskwierające im szykany. Julian Błażowski opisał taką oto sytuację: *"Swego czasu brata Siemkę, kiedy był na sali rozpraw (za działalność prozelicką – przyp. aut.), sędzia zapytał: 'Obrońcie macie?' - 'Tak mamy!' - odpowiedział brat Siemka. 'A gdzie on jest?' - ripostował sędzia. W odpowiedzi usłyszał - 'Ten, co nad nami jest (brat podniósł dłoń ku niebu – to On jest naszym obrońcą)'".*

Piotr Dranowski był przewodniczącym zboru w Krynicy do roku 1932, w następnych latach, 1936-1938, zastąpił go H. Siemek. To on w miesięczniku *"Słowo Prawdy"* nr 11 z 1936 roku zamieścił korespondencję następującej treści: *"W niedzielę 27 września (1936 roku – przyp. aut.) przeżywaliśmy wielką radość z powodu przyjęcia do zboru Pańskiego dwóch braci i jednej siostry... Już w sobotę przyjechał do nas nasz miły brat Pospiszyl z Tarnowa. W towarzystwie siostry Adamczykowej zebraliśmy się u brata Dranowskiego, gdzie przystępując do chrztu składali uroczyste świadectwo, że chcą iść śladami Naszego Mistrza, żyć i umierać z Nim... przyjechało 4 braci na rowerach z Wapiennego przeszło 60 kilometrów, wśród nich bracia Kaczmarczyk, Bodak i Lepek, odbyło się uroczyste nabożeństwo połączone z Wieczerzą Pańską i wkładaniem rąk na nowych członków..."*

Nie tylko w Krynicy można było znaleźć szukających wiedzy i wiary w Chrystusa. Pod koniec lat dwudziestych bieżącego stulecia w Andrzejówce był zbór liczący około 50 członków. Dzisiaj nie sposób powiedzieć do jakiego Kościoła, czy wspólnoty, należały te osoby. Pewne jest, że w trakcie swoich spotkań używali języka rosyjskiego. Według wspomnień byli to ludzie szczerzy i bardzo serdeczni, będący ideowo blisko krynickich baptystów.

Wróćmy jednak do samej Krynicy. W czasie II wojny światowej wokół zboru baptystycznego rozpętano nagonkę. Na czym ona miała polegać? Otóż według ów-

czesnych władz należało zebrać tych wszystkich, którzy nie chodzą do kościoła, "bo to są komuniści" – mówiono. W rezultacie wielu baptystów musiało stawić się na gestapo. W grupie tej znaleźli się Stefan Tchir, Gronosiakowa, Stapińska, Synowiec.

Lata wojny to czas wielu prób i problemów związanych z terrorem okupanta. Tym, który pomógł przetrwać dramatyczny okres był przybyły w tym czasie pastor Damaszwiec. Jak wspominają Julian i Władysław Błazowscy: "*był to dobry brat*". W roku 1946, bojąc się restrykcji wyjechał do Stanów Zjednoczonych.. Kiedy miał 90 lat, w liście do W. Błazowskiego napisał: "*Pamiętam kiedy byłem w Krynicy w latach 1942-1944, ochrzciłem 10 osób jako członków zboru*". Damaszwiec – jak wspominają obecni baptyści – w trudnych latach zawieruchy wojennej rozbudował krynicki zbor. To on założył aserwsze miejsce zebrań na ulicy Kraszewskiego w willi "Żelazówka".

Po wojnie w Krynicy nastąpiła bardzo przyjazna współpraca baptystów z grekokatolikami, których wówczas w Krynicy Dolnej było blisko 5 tysięcy. Nieufnie natomiast do baptystów podchodził Kościół rzymskokatolicki. Duch ekumenizmu zdecydowanie bardziej uwidaczniał się na linii baptyści – grekokatolicy.

W okresie powojennym kryniccy baptyści na swoich nabożeństwach spotykali się w wynajmowanych pomieszczeniach lub w mieszkaniach prywatnych swoich wyznawców. Swoje lokum na potrzeby zboru udostępniali: S. Tchir, Felner, Krzanowski. Ponieważ liczba baptystów była niewielka, nie było problemów z miejscem na wielbienie Boga. (Ps119,105). Nadszedł jednak czas kiedy znalezienie parceli pod kaplicę stało się konieczne. Miejsce takie uzyskano na przełomie 1972/1973, w pięknym widokowo miejscu. Z tą chwilą w Krynicy przy ulicy Polnej przystąpiono do gromadzenia potrzebnych materiałów budowlanych. Nie trzeba Czytelnikom przypominać jakie trudności należało pokonać w latach siedemdziesiątych, kiedy przez nasz kraj przechodziły fale kryzysów gospodarczych. Baptyści zawdzięczają wytrwanie – jak sami mówią – łasce Bożej, dzięki której wytrwali i szczęśliwie doprowadzili do uroczystego otwarcia kaplicy w dniu 29 września 1979 roku.

Wapienne

Historia tego zboru jest skromniejsza aniżeli zboru krynickiego, ale również godna uwagi. Należy odnotować, że po I wojnie światowej pojawili się w Wapiennem badacze Pisma Świętego, którzy powołując się na swojego protoplastę Karola Taze Russella znaleźli posłuch u miejscowej ludności. Zauważyli oni jed-

nak różnicę między pismami Russella a Słowem Bożym. Wahania te dostrzegł kapłan grekokatolicki Dymitr Chomiak, który w rozmowie z tymi poszukującymi ludźmi wskazał im na baptystów, dając im adres do jednego ze zborów baptystycznych w Rawie Ruskiej. Jakiś czas później z Rawy Ruskiej przybył do Wapiennego kaznodzieja Jan Podgórecki, który głosząc ewangelię założył podwaliny przyszłego zboru w oparciu o miejscowych i okolicznych mieszkańców (Maczyna Mała, Bodaki, Pielgrzymka, Bednarka, Drogoszowa, Pstrążna).

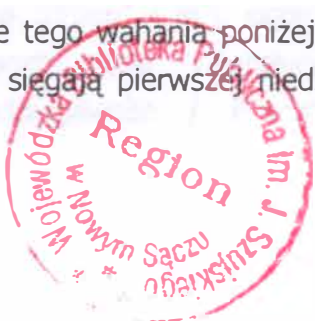
Do rozwoju zboru baptystycznego w Wapiennem przyczynili się Antoni Bodak i M. Kaczmarczyk. Byli to, jak twierdzi K. Bednarczyk w książce *"Historia baptystów w Polsce do roku 1939"*, *"zdolni misjonarze"*, którzy szerzyli ewangeliczną naukę dla dobra bliźnich. Z kronikarskiego obowiązku należy dodać, że w historię tego zboru wpisał się M. Bubniok, będący przewodniczącym tamtejszego zboru, który w roku 1938 liczył 34 członków oraz 76 sympatyków (w tym także dzieci).

Udało się odnaleźć klimat tamtych czasów na podstawie zachowanego miesięcznika w języku ukraińskim *"Piśaniec Prawdy"*, który w roku 1932 zamieścił taką oto notatkę autorstwa M. Kaczmarczyka z Wapiennego: *"(...) cieszymy się, że 13 osób oddało się Panu. Światło Ewangelii coraz jaśniej świeci w naszych Karpatach. Rozpoczęliśmy pracę w dwóch nowych wioskach. Bóg cudownie błogosławi, ale jest dużo przeciwników. Pociągano nas do odpowiedzialności za przeprowadzone nabożeństwo. Wójt wioski zarzucił nam przed sądem, że Biblia i Ewangelia to komunistyczna literatura..."* I jeszcze jedna wypowiedź, tym razem cytowana za miesięcznikiem *"Słowo Prawdy"* z września 1933 roku. Bronisław Spałka wspominał: *"(...) Przed trzema laty nasz Wieczny Lekarz rozpoczął tutaj kurację zbolełych duchowo, z których już niemal setka wyznaje i dziękuje Mu za cudowne uzdrowienia. Wieść o tym Lekarzu – Jezusie Chrystusie – rozlega się coraz głośniejsze i dalej"*.

Ostatnim przewodniczącym wapińskiego zboru był Piotr Dranowski, o którym już wcześniej była mowa. W roku 1936 zbor w Wapiennem zakończył swoją działalność.

Wysowa

Trzecim zgromadzeniem baptystycznym, powstałym w bliskim sąsiedztwie Sądecczyzny, jest zbor w Wysowej. Zbor ten jest (albo był? Czytelnicy znajdą wyjaśnienie tego wahania poniżej) najmłodszym spośród tutaj opisywanych. Jego początki sięgają pierwszej niedzieli maja 1939 roku. Założycielami wysowiańskiego



zgromadzenia byli: Prokop, Obuchnowicz, Jan Kowalczyk, Jan Kozik, Jan i Aleksander Pękalowie. Społeczność ta doświadczyła dużych prześladowań, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, kiedy to za przekonania religijne wielu baptystów długie lata spędziło w więzieniu.

Z relacji Krzysztofa Kempskiego wynika, iż do roku 1986 nie prowadzono w Wysowej żadnego archiwum. Zbór ten nie miał osobowości prawnej i przeszedł pod jurysdykcję Chrześcijańskiej Wspólnoty Zielonoświątkowej. Należy jednak wyjaśnić, iż doktrynalnie zbór ten jest blisko zasad baptystycznych i prowadzi ożywioną działalność ekumeniczną, przejawiającą się m. in. wymianą pastorów podczas zwiastowania Słowa Bożego, co należy odnotować jako pozytywny czynnik, łączący chrześcijan wielu dominacji religijnych. K. Kempski – pastor miejscowego zboru podaje, iż w chwili obecnej gromadzi na swych nabożeństwach 72 wiernych.

P.S.

Pragnę podziękować braciom: Władysławowi i Julianowi Błazowskim, Adolfowi Dutce z Krynicy oraz Krzysztofowi Kempskiemu z Ropicy Polskiej za informacje, które w znacznej mierze przyczyniły się do powstania niniejszego tekstu. Dziękuję za wiele szczegółów i rady, które wykorzystałem w artykule.

Autor

Robert Drobysz

KALENDARIUM DZIAŁALNOŚCI KLUBU LITERACKIEGO 'SĄDECCZYNA' LISTOPAD 1996 - MAJ 1999

WSTĘP

Trzeci rok działalności Klubu Literackiego "Sądecczyzna" (zwanego dalej KL) skłania do podsumowania jego bogatej działalności. W okresie tym opublikowano 13 książek poetyckich, odbyło się 14 spotkań z twórcami (w gościnnym lokalu Stowarzyszenia "Civitas Christiana" oraz w nowosądeckiej "Małej Galerii BWA"), w tym dwie promocje antologii literackich. W ramach działalności KL miało miejsce kilkanaście wewnętrznych wieczorów autorskich, umożliwiających twórcom zmierzenie się z trudną materią słowa i opiniami krytyków.

Sądecy pisarze i poeci brali udział w imprezach kulturalnych organizowanych w 1998 i 1999 r. w Nowym Sączu, jak i poza jego granicami: głośnej "Nocy Poetów" pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Nowym Sączu, I Galicyjskich Spotkaniach Poetów w nowosądeckim Ratuszu. Mieli wieczory autorskie w znanej w kraju nowosądeckiej "Małej Galerii BWA" (Barbara Paluchowa, Wanda Łomnicka-Dulak, Robert Drobysz). Twórców KL można było spotkać w Poznaniu (podczas promocji wyboru wierszy Marka Basiagi w wydawnictwie "W drodze"), w piwniczańskim Ośrodku Kultury, jak również w czasie krakowskiej Nocy Poetów. Członkowie KL uczestniczyli także w spotkaniach autorskich organizowanych w Starym Sączu, Piwnicznej, Limanowej i Krynicy.

Utwory klubowiczów były publikowane w prasie lokalnej ("*Gazeta Krakowska*", "*Nasze Strony*" i in.), ogólnopolskiej literackiej (m. in. w "*Magazynie Sztuki*", "*Krzywym Kole Literatury*", "*Akcencie*") oraz w mediach katolickich ("*Powściągliwość i Praca*", "*Gość Niedzielny*", "*W drodze*", itp.), jak

i w Internecie. Nagradzano je również na konkursach literackich (nagrody dla Janusza Jedynaka i Wandy Łomnickiej-Dulak).

Wydawnictwa klubowe recenzowane były w czołowych pismach literackich i w dodatkach kulturalnych ogólnopolskiej prasy codziennej. Np. *"Pierwsze spotkanie"* omówione zostało w krakowskiej *"Magdalence Literackiej"*, poznańskim *"Nurcie"* i *"Integracjach"*, jak również w *"Roczniku Sądeckim"*. Książki poszczególnych twórców były omawiane m. in. na łamach *"Odry"*, *"Akcentu"*, *"Zielonych Brygad"*, *"Końca wieku"*, *"Rzeczpospolitej"*, *"Trybuny"*.

Utwory członków KL publikowane są regularnie w prasie regionalnej i lokalnej; *"Almanachu Sądeckim"* (Stanisława Widomska-Fiedor, Władysława Lubasiowa, Tadeusz Basiaga, Paweł Szeliga i in.) *"Kurierze Starosądeckim"*, gdzie publikowali m. in. J. Szot i Danuta Sułkowska, oraz w piwniczańskim miesięczniku *"Znad Popradu"* (Barbara Paluchowa, Wanda Łomnicka-Dulak, Robert Drobysz). O działaniach KL informowały również lokalna prasa, telewizje kablowe (RTK, "Insat"), stacje radiowe (Radio "Echo", Radio "Dobra Nowina"). W studiu Radia "Echo" gościli m. in. Wojciech Kudyba, Adam Kamiński, Paweł Szeliga, Robert Drobysz.

Spotkania z krakowskimi twórcami: bardem "Piwnicy pod Baranami" Leszkiem Wójtowiczem, poetami Władysławem Kolarzem i Andrzejem Warzechą były okazją do publicznego zmierzenia się na słowa. Udział w wieczorach autorskich Czesława Miłosza, Juliana Kornhausera, organizowanych przez "Małą Galerię" BWA, był okazją do wielogodzinnych dyskusji o roli literatury we współczesnym świecie.

Działalność KL miała niewątpliwie wpływ na animację lokalnych środowisk twórczych w Starym Sączu (skupionych wokół *"Kuriera Starosądeckiego"* i Danuty Sułkowskiej), Piwnicznej (działalność Barbary Paluchowej i Wandy Łomnickiej-Dulak, publikacje w *"Znad Popradu"*) i Krynicy (wieczory poetycko-muzyczne organizowane przez Klub Twórczy działający przy oddziale TPSP).

Do najważniejszych wydarzeń w dziejach KL zaliczyć niewątpliwie trzeba: publikację pierwszej w Nowym Sączu antologii twórczości literackiej *"Zeszyt literacki nr 1. Pierwsze spotkanie"* w 1997 r., głośną, poznańską promocję wyboru wierszy



NR 1
ZESZYT
LITERACKI

PIERWSZE SPOTKANIE



Marka Basiagi z posłowiem Wojciecha Kudyby w 1998 r. oraz napisanie w 1999 r. przez znaną piwniczańską poetkę Wandę Łomnicką-Dulak słów do krakowiaka, który był odśpiewany przez wiernych na starosądeckich błoniach podczas mszy kanonizacyjnej błogosławionej Kingi, odprawionej przez Jana Pawła II.

Wszystkie te fakty wskazują jednoznacznie na powstanie prężnego środowiska literackiego w powiecie sądeckim. Jego korzenie sięgają dwudziestolecia międzywojennego, lat wojny i okupacji, a także działalności w czasach PRL, która, miejmy nadzieję, znajdzie swojego kronikarza. Na tak bogatym podglebiu wyrosła zróżnicowana i niezmiernie interesująca twórczość sądeckich pisarzy i poetów. Działalność grupy miłośników literatury nie ogranicza się do wydawania książek, licznych spotkań z czytelnikami, ale stwarza atmosferę sprzyjającą pracy, czego efekty widać w corocznych publikacjach. O skutkach tych działań głośno poza Sądecczyzną, co jest najlepszym dowodem sensowności i potrzeby podejmowanych prób. Ale to już temat na inny artykuł.

1996

10.11.1996

Spotkanie członków założycieli, w lokalu Stow. "Civitas Christiana", Klubu Literackiego w Nowym Sączu. W spotkaniu udział wzięli: Marek Basiaga, Tadeusz Basiaga, Wojciech Kudyba, Stanisław Pażucha, Leszek Migrąła i Paweł Szeliga.

10.12.1996

Zebranie grupy inicjacyjnej poświęcone wyborowi władz klubu, ustaleniu celów i zasad działania, obraniu nazwy, uchwaleniu statutu. Prezesem klubu został Marek Basiaga, wiceprezesem Stanisław Pażucha, członkami zarządu; Joanna Babiarcz-Król, Janusz Jedynak i Paweł Szeliga. Honorowym członkiem klubu została nestorka sądeckich poetów — Władysława Lubasiowa. Postanowiono, że spotkania klubowe będą odbywać się w każdy pierwszy wtorek miesiąca.

1997

28.01.1997

W siedzibie Stow. "Civitas Christiana" odbył się wieczór autorski Marka Basiagi, połączony z prezentacją książki poetyckiej *"Dwie drogi"*. Słowo wstępne wygłosił Wojciech Kudyba.

25.02.1997

W lokalu Stow. "CCh" miała miejsce promocja debiutanckiego tomiku poetyckiego "Umieram każdej nocy" sądeckiego poety Pawła Szeligi. Wstęp - Wojciech Kudyba. O tej poezji pisał Antoni Kiemystowicz: *"Świat P. Szeligi jest światem przepełnionym humanizmem, miłością (także tą spod skrzydeł Erosa), tęsknotą do prawdy i dobra"*.

4.03.1997

Wewnętrzne spotkanie autorskie ze starsądeckim poetą Januszem Szotem. *"W [tekstach autora] wyraźnie odczytujemy - pisze Danuta Sułkowska – przesłanie autora o trwałości opisywanych miejsc. Na ich straży stoją [...] nade wszystko najważniejsze ludzkie wartości."*

1.04.1997

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja twórczości poety z Bączej Kuniny Janusza Jedynaka.

5.05.1997

Wewnętrzne spotkanie autorskie z twórczością sędziwego artysty ludowego z Falkowej, Pawła Lelity.

20.05.1997

Ukazała się pierwsza publikacja KL *"Zeszyt literacki nr 1. Pierwsze spotkanie"*, opracowany przez Marka Basiagę, ze wstępem Wojciecha Kudyby.

27.05.1997

Wieczór autorski Wojciecha Kudyby, twórcy z Tęgoborza; prezentacja książki poetyckiej *"Wierność w małej rzeczy"*. Wstęp - Marek Basiaga. Wojciech Kudyba pisze: *"czytamy u Andrzeja Sulikowskiego - o tajemnicach krwi, oddechu, mowy, ciała."*

3.06.1997

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja twórczości Roberta Drobysza z Nowego, Sącza. *"W poezji Robert Drobysz - pisze Danuta Sułkowska - wierny jest, jak dotąd, krótkim formom zbliżonym do japońskiego haiku."*

1.07.1997

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja twórczości nowosądeckiej poetki Agnieszki Jurkowskiej. O jej poezji pisał Robert Drobysz, że *"jest lirycznym pamiętnikiem miłości końca XX wieku."*

5.08.1997

Wewnętrzne spotkanie autorskie z niekonwencjonalną sądecką poetką Joanną Babiarcz-Król.

20.08.1997

Na półki księgarskie trafia debiutancki tomik wierszy Tadeusza Basiagi pt. "Przebudzenie". O jego twórczości Barbara Czyżycka zanotowała: *"Teksty z 'Przebudzenia' są wg autora próbą znalezienia własnej tożsamości w otaczającym świecie, próbą osiągnięcia samowiedzy"*.

26.08.1997

W siedzibie Stow. "CCh" odbyła się prezentacja *"Zeszytu literackiego nr 1. Pierwszego spotkania"*, zredagowanego przez Marka Basiagę. Promocję prowadził Adam Kamiński. Wiersze recytowali autorzy. *"Poezja sądeckich pisarzy – pisał w recenzji almanachu Ignacy St. Fiut – posiada pewną wspólną cechę: na pozór spokojna i zatroskana, trochę znudzona reżimem codzienności, w warstwie podskórnej, w swym podglebiu inspiracyjnym, gotuje się sprzecznymi przeżyciami psychicznymi, odpowiadającymi mnogości doznań i bogactwem światów duchowych autorów."*

9.09.1997

Spotkanie podsumowujące pierwszy okres działalności KL zakończony wydaniem antologii literackiej

7.10.1997

Wewnętrzne spotkanie klubowe, podsumowujące dotychczasowe wieczory autorskie.

4.11.1997

Wewnętrzne spotkanie klubowe z kandydatami na członków KL.

2.12.1997

Świąteczne, wewnętrzne spotkanie klubowe.

21.12.1997

Spotkanie z poezją Roberta Drobysza w audycji Jana Gościńskiego "Echo Cafe" "Radia Echo"; m. in. informacja o działalności i wydawnictwach KL.

1998

6.01.1998

Noworoczne, wewnętrzne spotkanie klubowe.

01.1998

W krakowskim wydawnictwie "Miniatura" ukazały się tomiki poetyckie Pawła Szeligi *"Rzeźnia poetów"* i Roberta Drobysza *"Haiku na patyku"*.

29.01.1998

Promocja zbioru wierszy Tadeusza Basiagi *"Przebudzenie"*. Słowo wstępne wygłosił Wojciech Kudyba.

21.02.1998

Spotkanie z Agnieszką Jurkowską, poetką z Nowego Sącza; promocja debiutanckiej książki poetyckiej *"Paleta barw"*. Słowo wstępne wygłosił Robert Drobysz. *"Poezja Agnieszki - pisze Danuta Tymkowicz-Czajkowska - przypomina mi wędrówkę po ogrodzie, gdzie każdy zakątek przyciąga nas innym kształtem i innymi kolorami mieniających się barw."*

5.03.1998

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja poezji sądeczanina Henryka Jabłonowskiego.

Ukazał się debiutancki tomik poezji Janusza Jedynaka *"Cztery pory wiersza"*. [W książce] *widać - czytamy w recenzji P. Szeligi – [...] skupienie na sobie, procesie twórczym, relacjach z innymi ludźmi i bolesnym byciem w świecie, który nierzadko okazuje się poecie nieprzyjazny a prawa nim rządzące mało czytelne."*

17.03.1998

Wieczór autorski starosądeckiej poetki Danuty Sułkowskiej. Prezentacja debiutanckiego zbioru wierszy *"Czas poezji"*. Słowo wstępne prof. Ignacego St. Fiuta wygłosił St. Pażucha. *"[Stary Sącz] wydaje się stanowić - pisze Paweł Szeliga - podmiot liryczny większości pomieszczonych w tomie wierszy."*

7.04.1998

Wewnętrzne spotkanie autorskie z poezją Wandy Łomnickiej-Dulak.

Na półki księgarskie trafił tom poezji Tadeusza Basiagi pt. *"Wiersze"*. *"[W książce] autor dramatycznie przeżywa samotność i wyobcowanie z nieprzyjaznego świata."* (Paweł Szeliga)

5.05.1998

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja wierszy krynickiej licealistki Edyty Migas. O jej poezji Wojciech Kudyba wyraził się, że podejmuje polemikę z twórczością H. Poświatowskiej.

2.06.1998

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja twórczości Macieja Janika młodego poety z Nowego Sącza.

Ukazał się kolejny zbiór wierszy Joanny Babiarcz-Król pt.: *"Nie stało się nic"*. "[...] autorka skupia się na poetyckim przedstawieniu relacji pomiędzy małżonkami mającymi już za sobą dobre jak i złe doświadczenia." (Paweł Szeliga)

7.07.1998

Do księgarń trafił kolejny tom poezji Władysławy Lubasiowej pt. *"Odchodzimy razem i samotnie"*. *"Na książkę składają się raczej teksty - czytamy w recenzji P. Szeligi - o nucie wspomnieniowej."*

1.09.1998

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja kontrowersyjnej i oryginalnej poezji nowosądeckaniana Gerarda Zaręby.

W wydawnictwie "Miniatura" ukazał się ciekawy debiut piwniczańskiej poetki Stanisławy Widomskiej-Fiedor pt. *"W zakątku nieba"*. *"Poezja bardzo kobieca - pisze Paweł Szeliga – subtelna, ale nie infantylna."*

7.09.1998

"Noc poetów" pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Nowym Sączu. Swoje wiersze czytali: Tadeusz Basiaga, Robert Drobysz, Joanna Babiarcz-Król i Wanda Łomnicka-Dulak.

6.10.1998

Wewnętrzny wieczór autorski; prezentacja poezji nowosądeckanina Michała Szczypuły.

12.10.1998

"I Galicyjskie Spotkanie Poetów"; udział wzięli, jako obserwatorzy, członkowie KL: Joanna Babiarcz-Król, Tadeusz Basiaga, Robert Drobysz, Andrzej Zarych.

3.11.1998

Wieczór poetycki Wojciecha Kudyby. Autor prezentował tomik wierszy pt. *"Zwykły porządek rzeczy"*. Swoją poezję określił jako medytacyjną.

1.12.1998

Wewnętrzne spotkanie autorskie; prezentacja poezji Łukasza Basiagi, młodego twórcy z Nowego Sącza.

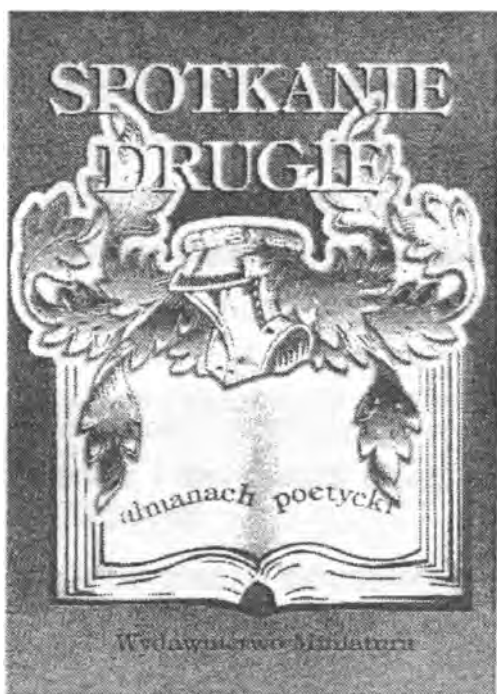
29.12.1998

Wieczór autorski Stanisławy Widomskiej-Fiedor; promocja zbioru wierszy *"W zakątku nieba"*. Słowo wstępne wygłosił Marek Basiaga. *"Cenię w poezji Widomskiej – mówił we wprowadzeniu – prostotę poezjowania, umiejętność trafienia w cel słowem, które ma go opisać, spokój jej lirycznej frazy, a wreszcie to prze-dziwne zespolenie losu ludzkiego z naturą."*

1999

5.01.1999

Noworoczne spotkanie klubowe; dyskusja o zamierzeniach na bieżący rok.



2.02.1999

Wewnętrzne spotkanie klubowe z kandydatami na członków KL.

Nakładem wydawnictwa "Miniatura" ukazał się almanach poetycki *"Spotkanie drugie"*, zredagowany przez Marka Basiagę, zawierający utwory członków "Sądeckizny".

5.02.1999

"Wieczór poezji" poetów zrzeszonych w Klubie Literackim "Sądeckizna" w MGOK w Piwnicznej. Podczas wieczoru odbyła się prezentacja tomiku *"W zakątku nieba"* Stanisławy Widomskiej-Fiedor. Wiersze recytowali również Barbara Paluchowa, Wanda

Łomnicka-Dulak, Danuta Sułkowska, Robert Drobysz i Andrzej Zarych.

23.02.1999

Promocja tomiku poezji Roberta Drobysza *"Haiku na patyku"*. Słowo wstępne prof. Ignacego St. Fiuta wygłosiła Danuta Sułkowska. Spotkanie przerodziło się w gorącą dyskusję o formie poezji i jej roli we współczesnym świecie. Ignacy St. Fiut pisał: *"Forma tej poezji jest twórczą próbą syntezy literackiej tradycji zarówno Wschodu, jak i Zachodu."*

4.03.1999

Wewnętrzny wieczór autorski; prezentacja dojrzałej poezji Małgorzaty Potoczek, nowosądeckiej licealistki.

10.03.1999

Promocja "*Spotkania drugiego*" w Klubie Twórczym w Krynicy. Prowadzenie - Stanisław Pażucha. Wiersze recytowali kryniccy poeci, uczestniczący w pracach KL, Julian Klamerus i Edyta Migas.

23.03.1999

"Wieczór z Klubem Literackim `Sądeckizna'" w nowosądeckiej "Małej Galerii" BWA, podczas którego prezentowany był almanach poetycki "*Spotkanie drugie*". Wstęp wygłosił poeta i krytyk literacki dr Wojciech Kudyba. "*Zgromadzona w "Małej Galerii" publiczność miała też okazję wsłuchać się w strofy wierszy recytowanych przez samych autorów i porozmawiać z nimi o tajnikach warsztatu twórczego.*" (szel)

6.04.1999

Podsumowanie okresu działalności KL, zakończonego publikacją i prezentacją antologii "*Spotkanie drugie*". Gorąca dyskusja nad kolejnym zbiorem utworów sądeckich twórców.

20.04.1999

Wieczór autorski Marka Basiagi; prezentacja tomu wierszy "*Tunel na końcu świata*". Słowo wstępne - St. Pażucha. Autor przedmowy powiedział o tym tomiku, że autor godzi się w nim ze światem.

4.05.1999

Wewnętrzne spotkanie klubowe, dyskusja nad organizacją wieczorów autorskich Barbary Paluchowej i Wandy Łomnickiej-Dulak w Limanowej, Joanny Babiarcz-Król i Roberta Drobysza w Nowym Sączu.

11/12.05.1999

Noc poetów, członków krakowskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w "Jamie Michalika". Uczestniczył w niej Marek Basiaga. Spotkanie było połączone z promocją antologii poetyckiej SPP "*Gwiazdy w nocy*".

11.05.1999

Wieczór poetycki Barbary Paluchowej i Wandy Łomnickiej-Dulak w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Limanowej. Wstęp - Stanisław Pażucha.

18.05.1999

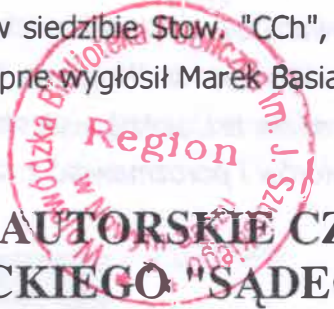
Spotkanie poetyckie Tadeusza Basiagi w Klubie Twórczym w Krynicy. Zagajenie - Stanisław Pażucha.

27.05.1999

Spotkanie autorskie Roberta Drobysha, pt.: "*Majowy wieczór z poezją miłosną*", w nowosądeckiej "Małej Galerii" w Nowym Sączu, połączone z prezentacją, przygotowanego do druku tomu wierszy "*Odmienianie snów*". Introdukcja - Alicja Hebda, Stanisław Pażucha.

27.05.1999

Promocja zbioru poezji, w siedzibie Stow. "CCh", Joanny Babiarcz-Król pt.: "*Nie stało się nic*". Słowo wstępne wygłosił Marek Basiaga.



WIECZORY AUTORSKIE CZŁONKÓW KLUBU LITERACKIEGO "SĄDECCZYŻNA" W LATACH 1997 - 1999

1. Marek Basiaga, "*Dwie drogi*", 28.01.1997, wstęp - Wojciech Kudyba,
2. Paweł Szeliga, "*Umieram każdej nocy*", 25.02.1997, zagajenie - Wojciech Kudyba,
3. Wojciech Kudyba, "*Wierność w małej rzeczy*", 27.05.1997, słowo wstępne - Marek Basiaga,
4. [antologia literacka], "*Spotkanie pierwsze. Zeszyt literacki*", 26.08.1997, prowadzenie - Adam Kamiński,
5. Tadeusz Basiaga, "*Przebudzenie*", 29.01.1998, przedmowa - Wojciech Kudyba,
6. Agnieszka Jurkowska, "*Paleta barw*", 21.02.1998, wstęp - Robert Drobysz,
7. Danuta Sułkowska, "*Czas poezji*", 17.03.1998, introdukcja - prof. Ignacy St. Fiut,
8. Janusz Jedynak, "*Cztery pory wiersza*", 29.04.1998, prolog - Marek Basiaga.,
9. Wojciech Kudyba, "*Zwykły porządek rzeczy*", 3.11.1998, prowadzenie - autor,
10. Stanisława Widomska-Fiedor, "*W zakątku nieba*", 29.12.1998, zagajenie - Marek Basiaga,
11. Robert Drobysz, "*Haiku na patyku*", 26.02.1999, introdukcja - prof. Ignacy St. Fiut,
12. [antologia literacka], "*Spotkanie drugie. Almanach poetycki*", 23.03.1999, wstęp - Wojciech Kudyba,

13. Marek Basiaga, 20.04.1999, "*Tunel na końcu światła*", słowo wstępne - Stanisław Pażucha,
14. Joanna Babiarcz-Król, 27.05.1999, "*Nie stało się nic*", wstęp - Marek Basiaga.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA PUBLIKACJI PRASOWYCH O KLUBIE LITERACKIM "SĄDECCZYNA", 1997 - 1999

1. Paweł Szeliga, "Klub Literacki 'Sądecczyzna'", Almanach Sądecki, Nowy Sącz nr 2 (19), 1997, s. 55 - 58 ilustracje.
2. Anna Fatyga, "Zeszyt Literacki nr 1. Pierwsze spotkanie", Rocznik Sądecki, tom XXVI, Nowy Sącz, 1997, s. 236 - 237.
3. Ignacy St. Fiut, "Życie literackie Sądecczyzny", Magdalenka Literacka, Kraków, nr 2 (28), 1998, s. 9.
4. (mol) "Nasi ludzie w Krakowie", Gazeta Nowosądecka (dodatek lokalny do Gazety Krakowskiej), 22.06.1998, nr 409, 1998.
5. Paweł Szeliga, "Poeci pod pomnikiem wieszczą", Gazeta Nowosądecka (dodatek lokalny do Gazety Krakowskiej), 4.09.1998.
6. (PIT) "Wieszcz przemówił nocą", Dziennik Nowosądecki (dodatek lokalny do Dziennika Polskiego), 9.09.1998. s. 18, ilustracje.
7. Paweł Szeliga, "Niepokój pomimo jubileuszu", Gazeta Nowosądecka, nr 473, 9.09.1998.
8. Paweł Szeliga, "Wszystkie książki Nowego Sącza – Co wydali sądecki autorzy w 1998 roku", Gazeta Nowosądecka, nr 480, 16.09.1998, ilustracje.
9. (mol) "Koncert pod pomnikiem", Dziennik Nowosądecki, 16.12.1998, ilustracja.
10. (bas) "Patrzę w przejrzystą twarz świata", Znad Popradu, nr 1 (93), styczeń 1999, s. 14.
11. Danuta Sułkowska, "Starosądeckie inspiracje", Kurier Starosądecki nr 1 (78/IX), styczeń 1999.
12. (red.) Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Piwnicznej - ferie 1999, Znad Popradu, nr 2 (94), luty 1999 r., s. 18.
13. Henryk Szewczyk, "Radośnie i pogodnie", Gazeta Krakowska (Gazeta Nowosądecka) nr 62 (629), 15 marca 1999, ilustracja.

14. (PG), "Muzyka i literatura. Mała Galeria zaprasza", Dziennik Nowosądecki, nr 64, 16.03.1999, s. 16, ilustracja.
- 15.(szel), "We wtorkowy wieczór...", Gazeta Krakowska (Gazeta Nowosądecka), nr 71, 25.03.1999, s. 11, ilustracja.
16. Wojciech Kudyba, "Gorzkie "Przebudzenie". O wierszach Tadeusza Basiagi" w: Akcent nr 1 (75)/1999, s. 126-127.
17. Wojciech Kudyba, "Dom, dworzec i...[Paweł Szeliga]" w: Akcent nr 1 (75)/1999 s. 131-132.
18. Danuta Sułkowska, "Starosądeckie inspiracje" [Janusz Szot], Kurier Starosądecki nr 2/1999, s. 20, luty 1999.
19. Jerzy Leśniak, "Nowe wiersze Marka Basiagi. Tunel na końcu świata", Dziennik Polski (Dziennik Nowosądecki), 21 kwietnia 1999, s. 20, ilustracja.
20. Paweł Szeliga, "Basiaga niekonwencjonalnie", Gazeta Krakowska (Gazeta Nowosądecka), 22 kwietnia 1999, s.4, ilustracja.
21. Adam Ziemianin, "Usłyszeć światło", Gazeta Krakowska, 6 maja 1999, s. 11, ilustracja.
22. Paweł Szeliga, "Literaci w bibliotece", Gazeta Krakowska (Gazeta Nowosądecka), 10 maja 1999, s. 6.
23. Marzena Hamernik, "Codzienna samotność", Gazeta Krakowska (Gazeta Nowosądecka).

**"Memoriał przez JMCP Leszczyńskiego JW Marszałkowi Prześwie-
nej Kofederacyi Ziemi Łomżyńskiej podany w obozie pod Izbami"**

Działalność Kazimierza Pułaskiego marszałka łomżyńskiego na Sądecczyźnie przypadła na pierwszą połowę 1770 roku. Trudno ustalić dzisiaj dokładną datę jej rozpoczęcia. Prawdopodobnie zaczęła się ona z końcem marca lub na początku kwietnia 1770 roku. Głównym ośrodkiem jego działalności stały się Izby, gdzie znajdował się jeden z większych ośrodków konfederackich. Z ramienia Pułaskiego działał w Sądecczyźnie dawny rotmistrz powiatu sądeckiego i czchowskiego Marcin Leszczyński.

Szczegółowe wytyczne pracy M. Leszczyńskiego zawarte były w "Memoriale", jaki przedstawił on K. Pułaskiemu przebywającemu w obozie pod Izbami.

"Memoriał" (Archiwum państwowe w Krakowie, Casternsia Sandecesia, t. 183, s. 1602-1613), stanowi ważne źródło do poznania działalności K. Pułaskiego w okresie konfederacji barskiej (1768-1772) na Sądecczyźnie i poszerza naszą wiedzę o bohaterze dwóch kontynentów.

"1-mo Mam w ordynansie uniwersalnym terminem zalecono słuchać przysięgi obywatelów Województwa Krakowskiego i od nich akcesa odbierać chcę mieć specyfice rezolucyję czyli mam toż samo z Senatorami i urzędnikami województwa dopełnić

Nulla excepto quo ad punctum, że zdrady żadnej dla konfederacyi nie uczyni.

2-do Z uporczywemi, a jeszcze gdyby się któryś trafił tak jak W. Stadnicki starosta wyżgrodzki posponujący komendę i oświadczający

kazać wiązać komenderowanych na egzekucyją, jak sobie mam postąpić, czyli za to ukarać powiększeniem komenderowanych, czyli wziąć w areszt i do obozu przystawić, czyli odstąpić i tylo go marszałkowi nanotować i donieść.

Takowego ściślejszą egzekucyją ukarać wyznaczeniem kontrybucyi i furazu dostatecznych.

- 3-tio Konie zdadne pod żołnierzy czyli mam i fonałek bez względu na osoby zabierać i na nie czyli dawać czyli dawać rewersa z wyrażeniem taxi, albo nie, czyli też będą skąd pieniądam justo praetio aut per medium płacić, lub nie gdy zaś pokaże się na którego obywatela, że konie za granicę wyprowadził lub ukrył jak sobie z nim postąpić.

W. Partyzanta za dowodnym przeświadczeniem użyć rygoru wojskowego, a zaś nie w interesowanych justo praetio konie zdanie /!/
bez zbytecznego się naprzykrzania brać, gdy będą pieniądze płacić a in defectu rewersować do Generalnej Komendy.

- 4-to Branie ludzi na rekrutów czyli mam równym sposobem z dóbr ziem królewskich i duchownych następować czyli też na dobra ziemskie mieć wzgląd takowy osobliwie, gdzie ma szlachcic wieś jedne osady 50 wszyskiej w Podgórzu mająca wielu można naznaczyć stawieć, a stawienie z wielu kmieci miarkowane ma być w zawiskich zaś nie tak zrujnowanych wsiach ziemskich w kraju obfitszym będących ludzi rosłych, mężnych, silnych, odważnych mających równym sobie mam sposobem postąpić czyli innym osobliwie z których wyprawa nie nastąpiła, czyli mam wziętych na rekrut ludzi brać jakie pieniądze na mundur albo nie.

Ten punkt do roztropności komendanta oddaje się z umiarkowaniem ziemskich ochroną.

- 5-to W Dobrach Stołowych Królewskich i Ich Im Prymasa jako mają przeze mnie nastąpić czynności.

Z tych cokolwiek użytecznego dla wojska być może bez uciemiężenia jednak poddaństwa.

- 6-to Na lonug (!) dla komenderowanych ze mną skąd mają być pieniądze.

Pozwolone wybieranie dochodów publicznych przy regularnym regestrów zapisaniu.

7-mo Czyli mam kompletować i do wielu komendrowanych ze mną uzurów lub nie, a gdy nakazanie kompletowania nastąpi, skąd także pieniądze na konie, mundur, broń i moderunek żołnierskie mają być oraz jakiego koloru mundur ma być oraz i amunicja

Kolor munduru wiadomy. Rekrutowski może być największy. Pieniądze na to in superiori puncto.

8-vo Z JMP Badynim dawnym faworytem Domu Poniatowskich trzymającym dobra w ekonomii Niepołomickiej i Krakowskiej, Stołowe Królewskie i Dziedziczone X. JM Opata Poniatowskiego Podgórskie jeszcze nie ogłoszmy partyzantem. Co robić oraz i temi bądź jakiegokolwiek stanu i urzędu osobami o konniwencyję z nieprzyjacielem (jeżeli się trafi) prze kogo oskarżonemi jak sobie postąpić.

Każdy partyzant bez excepcyi powinien być prześladowany na wszystkim.

9-no Prowianty to jest zboża, bydła jak nakazywać, to jest czyli trzecią albo czwartą część brać, czyli też nie pytając się co ma tylko zważywszy jego sytuacją i substancją nakazać dostawić tudzież bydła na wieś i dwór wieprzów, masła, sera jak mam znacznie nakładać i ad proportionem jakowej osiadłości i w jakowym kraju.

Do przezorności komendanta uważając sytuacją dóbr i okoliczności więzienia albo w niektórych dobrach nastąpionego.

10-mo Gdyby się kto trafił z Imć PP konfederatów nad ordynans sobie dany postępujących exorbitujących albo z nieprzyjacielem znoszących się lub zbytnio agrawacją w wybieraniu prowiantów chociaż i z innej dywizyi lub na palety moje następujących co z niemi czynić.

Co się tycze exorbitujących w tej okoliczności wypadło uczyć uniwersały, następowania zaś na palety tego dopuszczać nie należy.

11-mo Szpiegów regularnych wielu mam trzymać przy sobie, po wiele im płacić, skąd mają być pieniądze.

Na szpiegów z prowentów publicznych którym zapłata proporcjonalna.

12-mo Ordynans Imć PP Posesorów jakichkolwiek dóbr i jakiegokolwiek stanu i urzędów, aby mieli na obroty nieprzyjacielskie baczność czyli mam moc dawać z dołożeniem jakowej kary, aby który z

Ichmciów ordynansu akceptować nie chciał i zadosyć nie czynił, jak sobie mam postąpić.

Ten punkt wypadłe objaśnia uniwersały.

13-tio Gdyby się trafiło w dalszym marszu upatrzeć małą kwotę nieprzyjaciela, Czyli mam z nimi potentować szczęścia czyli też unikać.

Umiarkowania i ostrożność ile w równej kwocie

14-to Z podejrzanymi osobami a jeszcze niegłoszonymi adherentami czyli mogę się widzieć i onych wysłuchaniem przysięgi, odebraniem akcesa przeciągnięciem na stronę prześwietnej konfederacyi, aby o nieprzyjacielskich czynnościach donosili lub nie, czyli też Ich cum toto odsyłać do Generalności zrozumiawszy onych jakowej są myśli.

Przysięgę niech wykonają gdyby w niedokonaniu przeświadczeni byli takich defere należy do Generalnej Komendy.

15-to Trębaczów, broń etiam gdyby fuzyje i pistolety choćby ostatnie komukolwiek czyli mam zabierać bez wszelkiego względu.

Broń żołnierską zabierać pozwala się.

16-to Ślusarzów, kowalów, rymarzów, siedłarzów, stolarzów, cieślów, prochy umiejących robić czyli mam i z dalszych powiatów prócz podgórskich nakazywać et sub quo nexu odsyłać.

Choćby z najdalszych miejsc ściągać i do Nawojowy sprowadzać i o tych zgromadzonych komendę uwiadomić.

17-to Rekrutów w dalszych powiatach czyli mam razem z sobą sprowadzać /co jest rzecz trudna/ czyli też posesorom, ekonomom, wójtom sub juramento distincte sposobem obmyślonym nakazać odsyłać do obozu.

Do Nawojowy maja być odsyłani, a dopiero za nadgłoszeniem się do komendy ich gdy będzie ordynans odsyłać.

18-vo Ponieważ w dwóch miejscach pogranicznych swawolne pokazały się jako to na Ochotnickich kupy górach więc zapobiegając rozbojom i wszelkim inkonweniencjom należy obmyślić sposoby.

Wsie wszystkie mają tego przestrzegać i gromić gdyż w niedopilności wsie odpowiadać będą. ...

- 21 Kraj Górny ponadgraniczny to jest klucz Moszyński //, Nawojowski, Miasteczko Piwniczna, Łomnica do Starostwa Sandeckiego należących, u których wielu ludzi tylko chwastami żyją, aby stąd powietrze nie wzięło się, lub żeby hultajskiego nie zaczęły życia, dlatego Ich rekomenduję protekcji JW. Pana oraz by miłości i serca nabrali ku Prześwietnej Konfederacji.

Tych ludzi per modum elemożyny proporcjonalnie zaratować pozwala się".

Opracowanie: Jan Obrębski i Emil Rysiewicz.

Wspomnienia z historycznego meczu Grybovii z reprezentacją armii niemieckiej, stacjonującej w Grybowie i okolicy przed uderzeniem na Związek Radziecki w maju 1941 r.

W ostatnią niedzielę maja 1941 roku rozegraliśmy mecz piłki nożnej z reprezentacją armii niemieckiej, która, jak się później okazało, przygotowywała się do uderzenia na Związek Radziecki. Niemcy przyglądali się wcześniej naszym treningom i grze, toteż w końcu zaproponowali nam rozegranie towarzyskiego spotkania w piłkę nożną. I tak termin został ustalony na dzień - i tu tylko pamiętam, że była to ostatnia niedziela maja 1941 r. Drużyna nasza wystąpiła w składzie: od bramki - Oleksiewicz Stanisław, Rysiewicz Emil, Kamiński Wiktor, Grabla Kazimierz, Brzezicki Jan, Obrębski Jan, Wiśniowski Kazimierz jako kapitan drużyny, Obrębski Stefan, Skowroński Adam, rez. Czapliński Feliks i Witek Zygmunt. Graliśmy w kostiumach - zielono-białych, które pozostały po Grybovii przedwojennej. Niemcy wystawili skład najlepszy, na jaki tylko ich było stać, w tym, jak się chwalili, jeden zawodnik o nazwisku Bruno Waszkowiak, był uczestnikiem ostatnich przedwojennych mistrzostw świata. Na mecz, który cieszył się ogromnym zainteresowaniem, przybyły niezliczone ilości kibiców z Grybowa i dalekiej okolicy.

Spotkanie odbyło się na boisku na plantach miejskich o godz. 16-tej. Teren wokół boiska był szczelnie zapełniony, podobnie skarpa od strony Ob. Szwarkowskiego, również wypełnione kibicami było podwórko. Nawet młodzież chcąc oglądać to historyczne spotkanie, usadowiła się na otaczających plac drzewach. Na mecz Niemcy ściągnęli orkiestrę pułkową, która przygrywała im do rzekomego zwycięstwa. Oczywiście, mecz rozpoczął się przy ogromnym dopingu naszych kibiców, wiadomo, że graliśmy z okupantem. Mecz zakończył się wynikiem 3:1, do przerwy 1:0. Oczywiście dla naszej drużyny. Pokonaliśmy pyszałków, którzy za wszelką cenę pragnęli wygrać. Bramki dla nas uzyskali: 2 - Obrębski Jan, 1 - Obrębski Stefan.

Zakończenie meczu odbyło się w następujący sposób: drużyny ustawiły się w szeregu naprzeciw siebie - Niemcy pozdrowili zwycięzców okrzykiem: Sieg Heil, trzykrotnie (co w tłumaczeniu znaczy ZWYCIĘZCOM CZEŚĆ) i zeszli z boiska pokonani.

Dla nas to zwycięstwo nad Niemcami było najcenniejsze, tym bardziej, że pokonaliśmy odwiecznego wroga. W kilka dni po klęsce Niemcy pragnęli doznać hańbę zmyć przez rozegranie rewanżowego spotkania. Do rewanżu jednak nie doszło, ponieważ ich dowództwo nie zgodziło się, uważając ich porażkę za wielką hańbę i wstyd. Niemcy są zwycięzcami na wszystkich frontach, a ich drużyna okrzykiem Sieg Heil zakończyła swój występ.

Grybów , dnia 9.III.1986 r.

SPIS TREŚCI

Opracowanie: Małgorzata Kossakowska SŁUGA BOŻA JULIA RODZIŃSKA	3
Adam Śledź W KŁEBACH DYMU I PARY	11
Małgorzata Rusin POMNIKI PRZYRODY	16
Wiesław Piprek UROKI STAREJ KRYNICY (CZĘŚĆ I)	28
Agata Gawronianka WSPOMNIENIA Z MŁODOŚCI	38
Opracowanie: Leszek Zakrzewski EUGENIUSZ ZAKRZEWSKI. PAMIĘTNIKI WOJENNE ...	47
Leszek Migrała W GÓRACH NAJWYŻSZYCH ...	58
Marcin Krakowski POCZĄTEK I ROZWÓJ RUCHU BAPTYSTYCZNEGO NA SĄDECCZYŹNIE I W NAJBLIŻSZEJ OKOLICY	72
Robert Drobysz KALENDARIUM DZIAŁALNOŚCI KLUBU LITERACKIEGO 'SĄDECCZYŻNA' LISTOPAD 1996 - MAJ 1999	77
LISTY, OPINIE, DOKUMENTY, POLEMIKI. Andrzej Wasiak "MEMORIAŁ PRZEZ JMCP LESZCZYŃSKIEGO ...	89
Opracowanie: Jan Obrębski i Emil Rysiewicz. WSPOMNIENIA Z HISTORYCZNEGO MECZU GRYBOVII ...	94

